Świat Kobiecy

ROK IX 15 STYCZNIA 1929 N-R 2



TREŚĆ NUMERU 2 „ŚWIATA KOBIECEGO":

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wraz z przesyłką kosztuje w Administracji (Lwów, Chorążczyzna 27), miesięcznie zł. 3·80, kwartalnie zł. 10·50, półrocznie zł. 18·—, rocznie zł. 36·—. — Numer pojedyńczy 2 zł.

Kwotę prosimy nadesłać wraz z zamówieniem blankietem P. K. O. (Konto Nr. 140.810, Księgarnia Polska), przekazem pocztowym lub w liście znaczkami pocztowemi.

Można także prenumerować w księgarniach, biurach gazetowych i t. p. — Cena przy odbieraniu poszczególnych zeszytów **miesięcznie zł. 3·60, kwartalnie zł. 10·—** lub na poczcie **cena miesięczna zł. 3·66, kwartalna zł. 10·17.**

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA | NR 2 — ROK IX | WARSZAWA — LWÓW | 15 STYCZNIA 1929 ROKU

CHCEMY ZŁUDZEŃ!

Może za Twojem, Kuzynko, pośrednictwem kobiety usłyszą nasz chóralny krzyk: Chcemy złudzeń!
Zbuntowani mężczyźni.

Jesteśmy dziećmi, dużemi naiwnemi dziećmi. Chcemy tajemniczości, niedomówień, czarownych domyślników, bajki utkanej z promieni księżyca i zapachu kwiatów, bajki której zakończenie chcemy sobie wyszeptać sami.

Od szeregu lat tęsknimy namiętnie i żywiołowo do kobiety *ubranej*. Do kobiety, która nam nie prezentuje za jednym zamachem połowy ud, kształtu kolan i pieprzyka na łopatce; do kobiety, która idąc na bal w lekko wyciętej toalecie, zarumieni się pod naszem oczarowanem spojrzeniem. Do kobiety, która, gdy powieje wiatr i odchyli muśliny jej sukni, nie zawoła z triumfem: „Niech pan spojrzy, mam zupełnie takie same uda, jak Konopacka!" — ale zaciśnie ze złością piąstki i syknie, blada z gniewu: „Ach, niechże pan nie patrzy!".

Tęsknimy do wzruszeń i emocyj ojców i dziadków.

Tęsknimy do narzeczonych, które nie wtulają się publicznie w pierwszego lepszego fikającego do sufitu nogami idjotę, każąc nam na dancingach piastować szal oraz zasobny instytut kosmetyczny, zawarty w brokatowej torebce. Tęsknimy do żon, które na balach nie demonstrują tłumowi znudzonych nadmiarem damskiej nagości gapiów swego pracowicie epilowanego aktu, przesłoniętego kawałkiem lamy wielkości chustki od nosa i odrobiną fałszywych brylantów.

Tęsknimy do kobiet o długich, pięknych, pachnących włosach, w długich, pięknych, pachnących sukniach, które naszym ojcom i dziadkom dawały tyle upajających złudzeń! Nie wiedzieli szczęśliwcy, że na tysiąc kobiet, jedna, czy dwie tylko mają harmonijnie związane kolana i wdzięczną linję nóg...

Ponieważ nasze matki i babki, posiadając w wysokim stopniu tak uroczą, a dziś wyszydzoną pruderję, pozostawiały przywilej obnażania się damom z pół i ćwierć światka, oraz tancerkom z teatrzyków „Varietés", — ojcowie i dziadkowie nasi nie mieli na ulicy takich cyrkowych widowisk, jak my, nieboracy.

Idzie oto w upalny, letni dzień dama, na której drży leciutki podmuch chińskiej krepy, czy przezroczego muślinu i żongluje sobie w takt kroków soczystemi okrągłościami, jak profesjonalna żonglerka. Nic nie krępuje jej łona, ani talji, więc podrzuca własnemi kształtami, jak japoński cyrkowiec różnobarwnemi kulami. Albo taka modna „piękność" (pożal się, Boże!), wychudzona parafiną, głodem i punktrollerami, prezentuje nam, męczennikom, cały swój kościec, którego wcale nie jesteśmy ciekawi. Więc krzyczymy chórem wniebogłosy:

— Precz z żonglerkami wypukłości! Precz z preparatami oskologicznemi, nadającemi się do *teatrum medicum!* My chcemy, jak Amerykanie, mieć żony i narzeczone nie w strojach woltyżerek, ale w ślicznych, powiewnych, fałdzistych i odpowiednio długich sukniach o krótkiej talji, danej kobiecie przez Boga, a szaleńczym rozkazem Poireta przesuniętej gdzieś w okolicę lędźwi!

My mamy dość na ulicach, wizytach i w teatrach tej nieustającej wystawy nagich biustów, ud, kolan, łydek i pleców, które nasze matki i babki wstydliwie ukazywały naszym ojcom i dziadkom w koronkach zachwycających negliżyków, w różowem, przyćmionem świetle ampli sypialni, czy buduaru.

Nasze żony, narzeczone i „flirty" oskarżają nas o „potworne zblazowanie" i „haniebną nieczułość" na ich ponęty. Istotnie. Jesteśmy przesyceni. Cierpimy już na niestrawność. Bądźcie *ubrane*, a staniemy się na nowo wrzącemi wulkanami, drapieżnemi jaguarami namiętności, trubadurami i minstrelami, którzy bledną na widok paru centymetrów białej szyi i wpadają w patetyczną ekstazę, gdy ujrzą cienki przegub nóżki damy ich serca.

My, mężczyźni, my, głupie, naiwne dzieci kochamy złudzenia i prosimy także współczesne nam kobiety o inną jeszcze iluzję. Szminkujcie się w domu! Nie pokazujcie nam z oburzającą nonszalancją w kącie salonu, w loży teatru, przy kawiarnianym stoliku, wreszcie w tramwaju, samochodzie, czy na ulicy całego arsenału magicznych środków, dzięki którym wasze brwi i rzęsy mają posępną czerń skrzydeł szatana, wasze nosy biel carraryjskich marmurów, policzki ciepły ton zorzy i brzoskwini, a usta pałający szkarłat najkrwawszych róż *Malmaison*. Pozwólcie nam łudzić się, że to genjalna malarka-natura dała wam te wszystkie czarujące barwy, a nie jakiś Coty, Houbigant, czy inny czarnoksiężnik z ulicy *de la Paix*.

My chcemy uwierzyć, że jesteście naprawdę piękne, a zapomnieć, że lwia część waszej *dzisiejszej* mody spoczywa w stu słoikach, tubkach, flakonach i różnokolorowych ołówkach,

Zarzucacie nam, że „nie lubimy się żenić". Owszem. Ogromnie lubimy się żenić, ale przeraża nas typ dzisiejszych panien.

Przyjaciel mój miał narzeczoną, której żywiołem był — oczywiście — charleston. I oto los pozwolił mi być świadkiem następującej sceny: Panna Niunia (owa narzeczona) charlestonowała bez przerwy godzinę i kwadrans z pewnym bladym młodzieńcem w cudownie skro-

jonym smokingu. Ponieważ charleston jest tańcem nader sugestywnym, a przytem nieopisany wprost tłok na sali pobudzał jeszcze żywiej imaginację smaganą rykiem i wrzaskiem jazz-bandu, blady młodzian z nadmiaru kipiącej namiętności ugryzł swą danserkę w szyję.

Panna Niunia zaś nietylko że nie zaprotestowała, ale pokazała narzeczonemu szkarłatne i zaślinione piętno na szyi i zawołała z pałającemi oczyma:

— Ach, co za murzyński temperament! Jaka rozkoszna, prymitywna bezpośredniość uczuć! To nie takie ciepłe piwo, jak ty!

„Ciepłe piwo" zawrzało jak Etna i wywołało młodziana o murzyńskim temperamencie do palarni, gdzie obaj panowie wymienili dźwięczne policzki i karty wizytowe. A co uczyniła panna Niunia? Może zemdlała ze strachu o narzeczonego i rzuciła mu się ze skruchą w objęcia? Nie. Panna Niunia dostała ataku nerwowego i zapomniawszy nawet o przypudrowaniu błyszczącego z nadmiaru emocyj nosa, wrzasnęła drżącym wściekłością sopranem:

— I *to* się nazywa narzeczony? Ty potworze! Jesteś męską bestją z epoki kamienia łupanego, jaskiniowcem, który ośmiela się być zazdrosny!

Tak, panno Niuniu. My, męskie bestje, my potwory z epoki kamienia łupanego, chcemy mieć narzeczone *dla siebie* i rezerwujemy wyłącznie dla siebie przywilej gryzienia ich w szyję podczas charlestona. Chcemy mieć także *carte blanche* na zazdrość jaskiniowców, jak nasi ojcowie i dziadkowie, choć żony ich nie tańczyły hotentockich black-bottomów i nie pozwalały Kannibalom w smokingach wygryzać sobie dziur w dekoltażach.

My chcemy autentycznych, przedwojennych panien, *panien* w znaczeniu moralnem i fizycznem, które przy blasku księżyca marzyły o idealnej miłości, a nie o bicepsach Gene Tunneya; panien, które tak czarownie rumieniły się własnym rumieńcem, a nie cegłastym różem od Dorina, i uczyły się raczej sztuki smażenia konfitur, niż — kunsztu całowania, wykładanego dzisiejszym ostrzyżonym i ogolonym „dziewicom" w zacisznych garsonjerach przez chętnych i pracowitych profesorów „miłości". Chcemy, by p nie naszych serc były bardziej podobne do bohaterek powieści Orzeszkowej, Prusa i Sienkiewicza, niż do różnych zwyrodniałych sleepingowych „demonów" Maurycego Dekobry, liczącego w Polsce setki tysięcy fanatycznych wielbicielek.

Niech nam, głupim, zahukanym mężom i narzeczonym obrońcy dzisiejszego kultu nagości i dzisiejszej mody nie powtarzają aż do znudzenia śmiesznej bajki, że to sport stworzył ów pęd do nagości i ową „wygodną, praktyczną i estetyczną" modę. Przejrzeliśmy uważnie statystyki i wiemy, że w Polsce, jak i we Francji, sportom oddaje się tylko znikoma ilość kobiet, a olbrzymi ich procent „sportowo" rozbiera się, idąc do biura, czy do kawiarni, na wizytę, czy do teatru.

W żadnym kraju na świecie, prócz Polski, kobiety pracujące nie częstują swych szefów i kolegów widokami z „La Vie Parisienne", dekoltażami nadającemi się do sal balowych, połyskiem jedwabnych pończoch odsłoniętych do połowy uda, kokieterją dziko fantastycznych fryzur i papuzią jaskrawością barw. Prosimy także obrońców dzisiejszej mody o zaniechanie wmawiania w nas, że strój naszej współczesnej elegantki jest wierną kopją szat wytwornej damy starożytnego Rzymu.

Oto jak opisuje strój rzymskiej piękności taki autorytet, jak Böttiger w *„Sabine, ou la matinée d'une dame romaine"*:

„Siedząc przy gotowalni, miała ona na sobie spodnią tunikę, odpowiadającą naszej koszuli, z bardzo cienkiej bawełnianej tkaniny z krótkiemi rękawkami. Pod piersiami tunika była przewiązana pasem. Niewolnica Cypassis zdejmuje teraz ten pas i otacza piersi wstęgą purpurową, zastępującą gorset, i podaje swej pani wierzchnią tunikę z długiemi, zprzodu rozciętemi rękawami, które spinają złote agrafy. Następnie Cypassis przewiązuje tunikę w pasie białą wstęgą, by suknia spadała w pięknych fałdach i odsłaniała tylko końce stopy i podaje Sabinie obszerny biały płaszcz zwany palla, który zarzuca się na lewe ramię i harmonijnie drapuje".*

I gdzież tu jest choćby oddalone podobieństwo do stroju naszej modnisi, której suknia nie waży chyba więcej niż proszek aspiryny? Rezygnujemy z tuniki i długiej fałdzistej palli, gdyż wiemy, że nasze współczesne Sabiny nie mają do dyspozycji lektyk, ani gromady czarnych niewolników z Nubji, lecz gromkim głosem błagamy choćby o ową „zastępującą gorset wstęgę purpurową", o jakiś „biustonosz", czy staniczek i gumowy pas, krępujący nieco talję, byśmy nie widzieli najintymniejszych szczegółów anatomji naszych Laur i Fornarin...

Chcemy pieścić się czarownem złudzeniem, że są one raczej podobne do rzeźby Praksytelesa, niż do smakomitej skądinąd galaretki cielęcej, trzęsącej się melancholijnie na garnirowanym półmisku...

— — — — — — — — — — — — —

Solidaryzujemy się z mądrą odezwą niemieckich lekarzy, o której wspominał „Świat Kobiecy", wzywającą do walki z modą nagości, jako ze źródłem poważnych niebezpieczeństw obyczajowych i zdrowotnych. Uściskalibyśmy z wdzięcznością znakomitego autora francuskiego, Pawła Valéry, za jego zgrozę estety na widok współczesnej modnisi.

Ucałowalibyśmy z dubeltówki rosyjskiego poetę Balmonta za jego pogrom na szpaltach pism paryskich „strzyżonych szpetnych kukieł, strojem i fryzurą imitujących mężczyzn", i złożylibyśmy najgłębszy hołd pani Rachilde, świetnej, głębokiej autorce *„Refaire l'amour"*, za jej broszurę: „Dlaczego nie jestem feministką?"

Nazywa ona modę „niebezpieczną epidemją, zbiorową halucynacją, histerycznym gestem, stworzonym przez krawca-szaleńca, czy fryzjera-manjaka. Tej epidemji, tej halucynacji i histerycznemu gestowi poddają się pokornie legjony kobiet, na których, jak na biednych małpkach w laboratorjach — można dokonać najszaleńszych eksperymentów".

„Deska bez piersi, bez bioder, bez włosów, ogolony kark — jakże nieapetyczny już u dwudziestoletniej kobiety dzięki ciągłemu użyciu brzytwy! — za krótka, bezwstydna suknia i jedwabne trykoty baletnic, zastępujące pończochy, — oto modna „Venus" — konstatuje objektywnie, bez żółci i bez melancholji pani Rachilde.

— — — — — — — — — — — — —

O, damy naszych serc, choć jesteście głuche na ostrzeżenia lekarzy, na protesty estetów i tak smętne dla was definicje literatów, może jednak wreszcie ockniecie się z masowej halucynacji i usłyszycie nasz rozpaczliwy krzyk:

Chcemy złudzeń!

— — — — — — — — — — — — —

Biedni „Zbuntowani Mężczyźni", czy znacie pewną żałośliwą dziadowską piosenkę: „Jednego razu"?

Na wszelki wypadek wam ją zacytuję:

Jednego razu
Przemówił dziad do obrazu,
A obraz do niego ani słowa —
I taka była ich cała rozmowa.

A przecież Oscar Wilde w jednym ze swych olśniewających aforyzmów powiedział:

„Mężczyzna jest problemem, a kobieta *obrazem*"...

ST. DIZIER

* Oczywiście koszuli naszych matek i babek, a nie dwom chusteczkom do nosa, przytrzymanym na ramionach wstążeczką — jakże często nieświeżą! *(Przypisek autorki.)*

ROLA KOBIETY W IDEI PACYFIZMU

Roku 1927 w „Świecie Kobiecym" ukazał się artykuł Michaliny Hausnerowej, traktujący o „przysposobieniu wojskowem kobiet". Między innemi autorka mówi, że przyszła wojna nie powinna nas zastać nieprzygotowanemi, ale wprost przeciwnie — my kobiety — powinnyśmy stanąć przy boku naszych ojców, mężów i braci, i jeśli okazałaby się potrzeba przyjść im ze zbrojną pomocą.

O ile się nie mylę, autorka artykułu zwracała się również do czytelniczek, zachęcając je aby się w tej kwestji wypowiedziały.

I dziwna rzecz. Nie odezwała się wówczas żadna z kobiet. Ani jednego protestu ze strony czytelniczek.

Ale odezwał się mężczyzna. — W krótkim, ale szlachetnym i pięknym artykule, utrzymanym w tonie mądrego pobłażania, wypowiedział się przeciwko idei, której namiętną stronniczką jest Michalina Hausnerowa.

Na tem dysputa zakończyła się.

W jakiś czas potem, również w „Świecie Kobiecym", ukazał się artykuł prof. Witwickiego p. t. „Co dzieci nad morzem śpiewają". W artykule tym występuje prof. Witwicki przeciwko metodzie nauczania dzieci ostrych piosenek żołnierskich.

Cóż wyrośnie z dziecka, w które już od dzieciństwa wpajamy nienawiść do „wrogów", uczymy je „ciachać szabelką" i nie czuć litości dla „ułana, który z konia spadnie", i którego „koledzy nie żałują, jeszcze końmi go stratują"? Taki mniej więcej sens artykułu prof. Witwickiego. Do tego pięknego wypowiedzenia powrócę jeszcze, a zaznaczam ten artykuł dlatego, że był jakby drugiem ogniwem idei pacyfistycznej, której rąbek odchylono nam w „Świecie Kobiecym". Pierwsze ogniwo: „kobiety nie uzbrajajcie się, ręce wasze powinny raczej leczyć i goić" — drugie ogniwo: „nie wpajajmy w dzieci nienawiści do człowieka, wszczepiać należy raczej rzecz najpiękniejszą: miłość".

Już wtedy chciałam namiętnie i gorąco zaprotestować przeciwko artykułowi Michaliny Hausnerowej na łamach „Świata Kobiecego", wiedząc, że gościnna redakcja chętnie użycza miejsca — w celu wypowiadania się — swoim współpracowniczkom i czytelniczkom. Inna jednak praca pochłaniała czas. Ale — piszę otwarcie: kwestja ta paliła mnie. No i lepiej odpowiedzieć „późno, aniżeli nigdy".

Nie myślę tu jednak prowadzić dysputy. Chcę napisać o „roli kobiety w idei pacyfizmu". A to będzie odpowiedzią. Będzie zamanifestowaniem innych przekonań. Być może, że znajdą one oddźwięk u pań.

— — — — — — — — — — — — —

Tak już jest — niewiadomo dlaczego — że ideę pacyfizmu utożsamiają jej wrogowie z brakiem patrjotyzmu. Pacyfista! To zaraz wróg państwa, wróg tradycji, wróg zdrowej, krzepkiej siły narodowej, historycznej przeszłości, to przestępca polityczny, którego w czasie pokoju toleruje się ale w czasie wojny zamyka pod klucz, gdyż „szkodzi interesom państwa".

Wszyscy wiemy dobrze jakie to pamflety, zjadliwe paszkwile, ostre przezwiska sypały się we Francji na Romain Rollanda, za to, że ośmielił się w szeregu pism swoich wystąpić przeciwko barbarzyństwu wojny i głośno i otwarcie całemu światu powiedzieć, że nigdy w życiu udziału w walce orężnej nie weźmie, że nie zabije człowieka. Za to, że ten najszlachetniejszy z szlachetnych pisarzy miał odwagę zawołać: „Jestem bratem wszystkich i kocham was wszystkich — ludzie". („Les Précurseurs"). Był wtedy Romain Rolland „zdrajcą ojczyzny", „bezwstydnym rewolucjonistą", „przyjacielem Niemiec", był „pisarzem, który wszczepia truciznę w organizm Francji". Czemże nie był w oczach nacjonalistów francuskich Romain Rolland!

Czemże nie jest w oczach najbliższego otoczenia każdy tak zwany „pacyfista"!

Jest co najmniej słabym tchórzem, egoistą, który na ołtarzu poświęcenia nic złożyć nie potrafi.

Wieki mozolnie i cierpliwie pracowały nad tem aby stworzyć pewien typ „kobiety-Spartanki", kobiety która bez łzy w oczach żegna ojca, brata, męża, narzeczonego, kochanka, syna, przyjaciela, która po śmierci ich jest dumna ze swego bohatera, z tego że życie potrafił złożyć w ofierze swej Ojczyźnie, kobiety która wieńczy bohaterów po powrocie i która w młodą generację wpaja nienawiść do wrogów.

Wieki — włożyły aureolę na głowę takiej kobiety. Pracowały nad tem legendy, podania, poezje, historyczne powieści, bohaterskie pieśni. Pracowali nad stworzeniem takiego typu historycy, pisarze, filozofowie, rzeźbiarze, malarze. Każdy naród ma swoją „Dziewicę Orleańską," opiewaną, rzeźbioną, malowaną po tysiąc razy, z której zbrodnią byłoby zedrzeć nimb bohaterstwa.

Wieki urabiały „kobietę-Spartankę". Nad kołyską śpiewała dziecku piosenki, w których drżała nienawiść do wroga, potem opowiadała legendy, podania o wojennych bohaterach, potem uczyła piosenek żołnierskich, potem cieszyła się, gdy mały bawił się szabelką, gdy mu się przytem błyszczały oczy i gdy dziecięcym, niewinnym głosikiem seplenił, że „będzie bić wroga, gdy dorośnie".

Potem była dumna, gdy się dobrze uczył historji, gdy dokładnie pamiętał ile to tysięcy ludzi wyrznięto podczas jakiegoś historycznego oblężenia.

Potem, gdy szedł na wojnę, przypinała mu kwiaty i... krzyżyk wkładała na szyję. A choć rwało się w niej serce, była dumna, że syn idzie walczyć. Była dumna, bo uczono ją, że tak trzeba. Nad tem pracowała jej matka, babka, prababka, nauczycielka, cała rodzina, całe społeczeństwo, wieki całe nad tem pracowały.

Potem z okrutnem męstwem wyszukiwała na pobojowiskach ciało bohatera, ale to jej zapatrywaniami, jej duszą bynajmniej nie wstrząsnęło.

Czasami sama nawet brała udział w walkach: z murów twierdzy sypała na głowy nieprzyjaciół kamienie, lała wrzącą wodę, albo podpalała lonty armat. Jednem słowem: zabijała. Było to rzeczą naturalną, ba! było to nawet bohaterstwem.

Ta praca wieków była ciągłem mąceniem mułu w czystem strumieniu duszy kobiecej, zatruwaniem źródła, w którem tętni żywy świat. Kobieta dawała życie, poto, żeby pomagać to życie zabijać potem. Do jakiejż zbrodni przyuczały ją wieki pod osłonkami fałszywych haseł.

Ale to była kobieta dnia wczorajszego. Temu typowi przeciwstawia Romain Rolland swoją Anetkę, która zasługuje na miano pełnego człowieka. („L'âme enchantée", t. III.)

Anetka rozumie, że wojna jest barbarzyństwem, godzącem w serce człowieka, zagrażającem życiu rodzinnemu; rozumie, że niweczy w człowieku wszystkie uczucia ludzkości i że w nieprzyjacielu nie dozwala dopatrzeć się człowieka. Anetka Rivière nietylko to rozumie, ona postępuje według przemożnych rozkazów serca. W rozwścieklonym tłumie, plwającym na rannych jeńców niemieckich, staje po stronie tychże jeńców, bez względu na opinję, jaką ten tłum wyda o niej; ułatwia ucieczkę jednemu z jeńców do Szwajcarji, narażając swoją wolność a nawet życie.

Anetka — Romain Rollanda to już kobieta jutra.

„Nikczemnicy! Zaliż jesteście Francuzami? Czyż jesteście ludźmi? Każdy ranny to rzecz święta! Wszyscy cierpiący są braćmi!”

Anetka trzymająca w szpitalu rękę konającego wroga i szepcząca macierzyńskie słowa: „Söhnchen! Knäbelein! Mein armer, lieber Kleiner!” — to prawdziwa kobieta! To pełny człowiek!

Romain Rolland przeczuwa kobietę jutra. „Piersi jej, uciskane dotąd barbarzyńskiemi więzami, zerwały pęta i jęły swobodnie oddychać. Wszyscy jesteście synami moimi. Synowie szczęśliwi, nieszczęśliwi, rozszarpujecie się wzajem. Ale ja was wszystkich obejmuję w ramiona. Jam jest Matka Wszystkich!”

Oto słowa kobiety jutra: „Jam jest Matka Wszystkich”.

„Gdyby każdy czynił to samo na swym ograniczonym terenie, byłoby to największą Rewolucją Ludzkości”, — mówi szlachetny pisarz.

Kiedy patrzymy wstecz i widzimy niektóre kobiety z dworu Walezjuszów, z jaką zimną krwią podżegują do rzezi Hugenotów, jak się rozsiadają na trybunach i z lubością patrzą na ręce kata, który siekierą na pniu — powleczonym czarnem suknem — odcina głowy „winnym”, — doprawdy przejmuje nas dreszcz zgrozy!

Patrzyły na to widowisko z lekkim uśmieszkiem jak na ciekawy spektakl. Podobno tylko Marja Stuart i Elżbieta Austrjaczka wymawiały się od tego miłego uczestnictwa. Ale tamte inne! Katarzyna Medyceuszka! Królowa Margot!

Zdaje mi się, że kobieta zaszła już wyżej! Że już dzisiaj nie mogłaby z taką lubością patrzeć na rzezie i na egzekucje choćby najgorszych „wrogów”. A może mi się tylko wydaje? Przecież podczas wojny byłam świadkiem, jak tłum ordynarnemi wyzwiskami obrzucał grupę chorych, zbiedowanych, zawszonych jeńców. Szli boso, późną jesienią — co to szli! — zaledwie się wlekli na opuchniętych, sinych nogach, absolutnie obojętni na wszystko. Żadna kobieta nie podeszła wtedy z kromką chleba lub kubkiem ciepłej herbaty. Owszem najgłośniej, najzajadlej, najnamiętniej właśnie one — kobiety — kopały słowami godność i dostojeństwo człowieka.

Nie mówię tu o wszystkich. Były takie, które spędzały bezsenne noce w szpitalach, nie zważając, czy ranny „swój” czy też „wróg”, zarówno troskliwie opiekując się tymi jak tamtymi.

Któż jak nie kobieta właśnie — istota, która daje życie — która rodzi i wychowuje człowieka — któż jak nie ona — ma odczuć najgłębiej godność człowieczą?

To, co tu w tej chwili napiszę — ściągnie na mnie na pewno t. zw. „burzę”. Ale piszę otwarcie i szczerze:

Gdy nieraz podczas wojny (już potem, podczas wojny polskiej) widywałam całe kompanje a nawet bataljony kobiece, jak krokiem marszowym z karabinami w rękach szły lub wracały z ćwiczeń — doprawdy obejmowała mnie jakaś zgroza. „Jakież to wielkie nieporozumienie! — myślałam wówczas — kobieta, która rodzi, kobieta, która wychowuje, istota, której natura przeznaczyła funkcję najszlachetniejszą, — idzie zabijać!” „Czyż to nie jakaś szatańska robota? Czy to nie jedno z najboleśniejszych nieporozumień naszej „wielkiej kultury”.

Doprawdy, wierzcie mi moje panie, że nie patrzyłam na te kompanje jak na zastępy „bohaterek”. Nie mogłam. Ciągle jedna gorzka myśl tłukła się w mojej głowie: „Czyż naprawdę każda z nich odważy się wycelować w żywe serce człowieka?” „Czyż jest ich aż tyle?”

Podczas różnych defilad zwykle spadał huragan oklasków, gdy przechodziły uzbrojone zastępy kobiece. Nie, moje panie! Nie mogłam bić wtedy brawa! Stałam w tłumie z zaciśniętemi ustami!

Za to najwyższą cześć czułam zawsze dla sanitarjuszek! Dla kobiet, które leczą, koją, wydzierają śmierci! — A nie dla tych, które zabijają. Wszystko jedno kogo — jakiego wroga! W każdym razie — człowieka!

Gdy dla mężczyzn był przymus służby frontowej, dla kobiet takiego przymusu nie było. Szły więc te, które same chciały się znaleźć w tym najtragiczniejszym z ogrójców i poczuć zapach krwi.

Nie! Przyszła kultura, kultura prawdziwa — (nie ta dzisiejsza, która pod pretekstem pięknych haseł pędzi ludzkość do rzeźni) — kultura jutra, o ile ją sobie mozolnie sami zdobędziemy — nie wystawi pomników tym bohaterkom.

Kobieta jutra — to przeczuwany typ rollandowski. Przed nią inne żądania.

ROLA PRZYSZŁEJ MATKI

Tak prędko rany się nie goją. Tak prędko blizny się nie zasklepiają. Tak prędko nie wysycha źródło słonych łez. Nie można jednym ruchem zagrzebać całej przeszłości. Długo jeszcze ci po cmentarzach będą dla nas świętymi bohaterami a inwalidzi troską naszą. Ale już trzeba zacząć pracować na jutrzejszy dzień.

Trudno tu pisać traktat o pacyfizmie. Brak miejsca nie pozwala na to. Zresztą wypowiem się w tej kwestji obszernie w powieści pacyfistycznej, którą właśnie wykończyłam. Chcę tylko tu zaznaczyć, że rola kobiety w tej idei jest ogromna.

Wieki pracowały nad tem, by stworzyć kobietę-Spartankę. Być może trzeba będzie wieków całych, aby inna kobieta stała się ideałem narodów. Kobieta-pacyfistka!

Ona ma właśnie rzucić ten pierwszy węgielny kamień pod budowę ogromnego „Domu Pokoju”. Kobieta ma zacząć ten dom budować. Tak — właśnie ona! Swojemi słabemi rękami. Nie sejmy, nie dyplomaci, nie ministrowie! Oni nigdy nie zaczną! Zacznie kobieta. Matka. Od czego?

Oczywista od wychowania dzieci. Kobieta jutra musi stanąć na platformie ogólno-ludzkiej i inaczej jak dotychczas spojrzeć na człowieka. Musi się stać obywatelką świata. To — co już dawno powiedział Schiller: „Piszę jako obywatel świata, dawno już wymieniłem ojczyznę na ludzkość”.

Kobieta musi zacząć budować „mocne dusze”. Ale „aby budować mocne dusze, trzeba je żywić sokami świata — naród nie wystarcza — sokami świata całego” (R. Rolland).

Idea miłości, braterstwa, pokoju będzie tem światłem, które rozjaśni mroki dzisiejszego wychowania. Musi przyjść czas, gdy kobieta spojrzy na swoje dziecko jak na „obywatela całego świata”. Nie — jak na Niemca, Francuza, Polaka, Anglika, Włocha — ale jak na człowieka. Musi przyjść wreszcie czas, gdy kobieta zamiast nienawiści zacznie w serce swego dziecka wpajać miłość. Miłość do wszystkich ludzi.

Już czas, aby matki przestały w opowiadaniach swoich gloryfikować wojnę i niezdrową namiętność rozpalać w sercach dzieci. Przecież te młode umysły są chciwe i chłonne jak gąbki i matki powinny pamiętać, że dzieciństwo to okres nigdy niezapomniany w życiu człowieka, a „młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały” i „że cios jej dłuta wiecznie trwały”.

Od matki więc zależy co wpoi w serce małego człowieka. Czy nauczy zaciskać pięście w nienawiści, kopać słabszych w brzuch i plwać „wrogom” w twarz — czy też nauczy sprawiedliwości, miłości i szacunku dla człowieczeństwa, dla godności ludzkiej. *(C. d. n.)*

KAZIMIERA ALBERTI

UDOSKONALONE RADJO

Francja jest krajem pamiątek. Z kultu przeszłości, jaki żywi, wynika towarzyski konserwatyzm i chętne trzymanie się utartych obyczajów. Tem bardziej, jeśli na tej trwałości komuś specjalnie zależy. Tak rzecz się ma z salonami literackiemi, za dawnych czasów wyroczniami smaku i mody. Znaczenie ich w wieku demokratycznym zmalało, gdy punkt ciężkości „życia umysłowego" przeniósł się do kawiarń. Ale zupełnie nie upadło. Albowiem komuś zależy na utrzymaniu sławy salonów literackich, ich wpływu i nawet ich władzy.

Kobiecie na tem zależy: woli ona królować u siebie, w odpowiednio dobranych ramach, aniżeli narzuconych jej, choćby najwspanialszych „palace'ów" ramach, utrzymuje więc „nić tradycyj", i chętnie daje schronienie „prawdziwej sztuce". Zresztą wielu wykwintnym osobom milej jest słuchać poetów i uczonych, widzieć najlepszych artystów w dobranem kole, nie zaś wśród „bylejakiej" publiczności; przebywać w atmosferze kwiatów, ambry i najmodniejszych perfum, nie zaś w dusznej, ciasnej sali; siedzieć wygodnie na krytych gobelinami berżerkach, pamiętających odległe czasy, nie zaś w małych fotelach lub tych nieznośnych „strapontenach", stołkach bez oparcia, w przejściu, z których należy się podnieść z chwilą gdy ktoś obok wstaje, a które sprzedają nawet w najlepszych teatrach, jeśli się zbyt późno przyjdzie.

Odczyty czy koncerta w salonach mają jeszcze tę dobrą stronę, że w antraktach flirtuje się bezkarnie z każdą przypadkową sąsiadką, a w dodatku na końcu seansu proszą do stołowego pokoju, gdzie jest bufet suto i pięknie zastawiony. Usługują często panie i podsuwają gościom rzeczy doskonałe. Nie kuszę się opisywać czaru rozmów prowadzonych przy takim sympozjonie...

Salony literackie to rodzaj udoskonalonego radja...

Salon państwa Papillaut. — Pan Papillaut jest znakomitym antropologiem i jemu to właśnie Krakowska Akademja Umiejętności powierzyła uczynienie pomiarów czaszki Słowackiego. Małżonka tego wielkiego uczonego jest literatką. Przed paru miesiącami otrzymała *Prix Femina* za swe poezje.

W roku zeszłym państwo Papillaut podejmowali Boya. Urządzili dla niego przyjęcie, połączone z koncertem. Oczywiście największą jednak atrakcją był nasz miły gość, o którym dziś wie nietylko Paryż, ale i cała Francja. Boy był dnia tego uroczy. Każdemu coś miłego powiedział, do każdego się uśmiechnął tym uśmiechem, w którym jest coś z wiecznego dziecka i wiecznego mędrca.

Jak wyglądają salony literackie? Przeważnie pełne są zabytków starej kultury i mało się różnią od swych poprzedniczek z 18 wieku. Nawet lampy elektryczne są tak ukryte w ciemnikach, że naśladują złote, ciepłe światło świec woskowych. Wzory do urządzenia takiego salonu, o ile nie dostało się go w spadku, czerpie się z żywej tradycji i z muzeów.

Aby stało się zadość dawnemu obyczajowi, często w takich zebraniach udział bierze jakaś duchowna osoba. To jest zabytek czasów, gdy „labuś" był nieodzowny jako najlepszy doradca w sprawach sztuki, piękna, a nawet mody. Tak nap. dzieje się u pani Boucher de Normandin, gdzie co poniedziałek zbiera się pewna „elita". Byłam tam, gdy Eugenjusz Marsan mówił o zmarłym przed rokiem pisarzu Mariusie André, który obalił legendę Krzysztofa Kolumba. Okazało się, że to nie Genueńczyk odkrył Amerykę i że sławę pozyskał dzięki talentowi reklamy, w której obaj z synem celowali. I dzięki też temu że był poetą, Krzysztof Kolumb posiadał cudowny dar wpajania w innych swych



REGINA Z SZYMAŃSKICH ANDRÉ Z MĘŻEM MARIUSEM ANDRÉ W MEKSYKU

marzeń... Książka Mariusa André kończy się pochwałą nauki polskiej, mówi się tam, że pierwszą mapę Ameryki dał światu już w roku 1512 Jan ze Stobnicy, kosmograf polski. Pochwała ta jest jednocześnie uśmiechem autora w stronę swej żony, Polki, wiernej towarzyszki życia i dalekich podróży, które jako konsul francuski z nią odbywał.

Wdziękiem i urokiem salonów był zawsze wdzięk i urok jego królowej. Pani Normandin, śliczna, o białych włosach kobieta, z godnością i gościnnością pełni rolę pani domu, jak to czynić umiały panie dawnej Francji. Powiedzieć tego nie można o właścicielce innego salonu, pani Aurel, znanej literatce i feministce, która jedynie jest miła i uprzejma dla panów. Z tronu swego, — a siedzi na innym, wyższym i piękniejszym fotelu, niż jej zaproszeni, — niechętnie zstępuje, damy wita dalekim ukłonem, wyciąga rękę do pocałunku mężczyznom, którzy jej swą czołobitność składają. Rada jest do ozdoby swej więdniejącej już nieco piękności mieć koło siebie kilku ładnych chłopców. Na tle dobrze skrojonych czarnych ubrań gorące, złote lub szkarłatne jej suknie efektownie się odbijają. I ciemnorude włosy, uczesane à la Ninon.

Pani Aurel często pisuje artykuły do pism. Bojowniczka o prawa kobiet wciąż woła o sprawiedliwość dla pokrzywdzonych. Ale mało kto ją słucha. A już najmniej te, dla których głos swój wytęża... Na jej zebraniach mówi się też najczęściej o autorach w naszej obronie występujących. Ostatnie słowo zawsze do pani Aurel należy. Z tronu się swego podnosi i prosi panów zgromadzonych w jej ślicznych salonach, żeby dobrzy byli dla pań. A mąż jej tymczasem podaje ramię najgodniejszej damie i wszyscy schodzą do bufetu.

Te trzy salony literackie podałam jako próbki czy wzory zamkniętych kapliczek literackich, istniejących obok wielu świątyń sztuki, wszystkim dostępnych.

Prócz kapliczek i świątyń są w tem olbrzymiem mieście odosobnione i osamotnione wieże: z kamieni, żelazo-betonu, a także w górę strzelające wieże z kości słoniowej. Mieszkają tam ludzie, którym gdzie indziej za ludno, za gwarno i — za ciasno.

AURELJA WYLEŻYŃSKA

COUÉ I JEGO SYSTEM

Jest to system najnieszkodliwszy ze wszystkich — pod gwarancją — a czasem nawet, przynosząc ulgę zmęczonym myślom ludzkim, mogący dużo dobrego zdziałać. Polega na czemś niezmiernie prostem, jakkolwiek nie dla każdego łatwem do przeprowadzenia. Tem czemś jest stała, konsekwentnie przeprowadzana autosugestja, zapewniająca o zdrowiu i pomyślnem rozwikłaniu wszelkich spraw.

Zatem optymizm wprowadzony do celów leczniczych, zaprzężony do pracy nad uzdrowieniem duszy i ciała, uczący pogody ducha i radosnej wiary w dobre jutro.

Obcowanie z optymistami jest dla każdego miłem odprężeniem nerwów i jakgdyby nabraniem energji do pokonywania przeciwności. Wolimy, i słusznie zresztą, uśmiech optymisty, aniżeli ponurą minę, zaciśnięte wargi, wieczne narzekania i niezadowolenie ze wszystkiego pesymisty. Raźniej nam płynie życie w oczekiwaniu raczej czegoś dobrego, aniżeli w przewidywaniu wszystkiego co najgorsze.

Takim optymistą w praktyce, pragnącym całą ludzkość nagiąć do tego rodzaju kategoryj myślenia, jest Francuz, Émile Coué, żyjący w Nancy.

Dziwny ten entuzjasta przez przeszło lat dwadzieścia robił doświadczenia nad sugestją i autosugestją, działając zawsze dla dobra drugich i w celu ulżenia ludzkim niedolom moralnym i fizycznym.

W roku 1925 wydał książeczkę p. t. *La maîtrise de soi-même*, przetłumaczoną na wszystkie prawie żyjące języki i na polski również. Z samego tego faktu, a także i z treści książki widzimy, jak bardzo ludzie potrzebują myśli krzewiących d:brą nadzieję i zaufanie do siebie.

Znamienne jest i to, że Coué zd:łał pozyskać dla swojej idei poważnych uczonych z różnych środowisk i narodowości. Świadczą o tem liczne Towarzystwa, krzewiące jego ideę, zakładane przez jej zwolenników po całym świecie, a mające w swem gronie członków o nazwiskach zapisanych chlubnie w różnych gałęziach wiedzy. Sam sposób operowania sugestją i autosugestją jest w książce ujęty zwięźle, w formie niezbędnych objaśnień czem jest w istocie to zjawisko, uzupełnionych praktycznemi wskazówkami postępowania.

Coué mówi na czele swej pracy: *to nie wola pobudza nas do czynów, lecz imaginacja.* I stara się to udowodnić na szeregu przykładów, z których, w braku miejsca, przytoczę tylko jeden: jeśli położymy na ziemi deskę długości 10 m a szerokości 25 cm, każdy przejdzie po niej swobodnie, bez zawahania się i bez obsuwania się stóp z deski na ziemię. Następnie spróbujmy zmienić warunki i umieśćmy tę samą deskę na wysokości np. wieży kościelnej z próżnią pod spodem. Czy znajdziemy wtedy kogoś, ktoby przeszedł po niej równie swobodnie jak wówczas, gdy leżała na ziemi? Bezwarunkowo nie. Największy wysiłek woli nie pomoże tutaj, a każda próba dozna niepowodzenia. Dlaczego? Bo gdy deska leży na ziemi, na pewnym gruncie, wyobrażamy sobie, że przejście po niej jest łatwym drobiazgiem; podczas gdy ją widzimy zawieszoną wysoko w powietrzu, wyobrażamy sobie, że nie możemy tego dokonać. Tak więc, jakkolwiek chcemy i wysilamy wolę, z chwilą w której wyobrazimy sobie niemożliwość czegoś — nie dokonamy tego. Wola ulegnie w walce z imaginacją. Wynikałoby więc z tego, że czynnikiem ważniejszym od woli jest imaginacja.

Na tem też założeniu opiera Coué swoją metodę i poleca kształcić i rozwijać imaginację.

Twierdzi również, że ażeby poddana podświadomości naszej autosugestja mogła się udać, nie powinna jednocześnie zadziaływać wola. Bo gdy ta ostatnia nie jest w zgodzie z imaginacją, czyli jeśli ktoś myśli: chcę by mi się to lub owo spełniło — a imaginacja mówi: to jest przecież niemożliwe, wówczas nietylko nie spełni się dane życzenie, ale nawet zdarzy się coś wprost przeciwnego. I w tem właśnie leży przyczyna wielu niepowodzeń z próbami autosugestji, gdyż ludzie przeważnie mieszają te dwe pojęcia.

Praktyczna strona metody przedstawia się mniej więcej następująco.

W samotności i spokoju należy usiąść wygodnie, zamknąć oczy dla uniknięcia jakichkolwiek roztargnień i myśleć przez pewien czas, że coś co nas np. dręczy zniknie, albo że coś czego pragniemy spełni się. Nie można myśleć naraz o kilku rzeczach.

Każda myśl, która zajmuje nasz umysł wyłącznie, staje się dla nas czemś prawdziwem i ma tendencję do przekształcenia się w czyn.

Zdolność do autosugestji nosimy w sobie wszyscy od urodzenia, lecz oddajemy ją na usługi podświadomości, niepomni, że jest to pierwiastek obosieczny. Świadomie i rozumnie kierowana działa dodatnio — rzucona zaś na pastwę podświadomości: niszczycielsko.

Przed powzięciem jakiejś autosugestji należy wprzód dobrze rozważyć jej wartość i możliwe skutki. Nie wszystko, czego pragniemy, może nam wyjść na dobre. Natomiast jest pewien rodzaj autosugestji bezwzględnie zbawienny w skutkach, który po eca Coué. Mianowicie codzień rano zaraz po obudzeniu, i codzień wieczór po położeniu się do łóżka powtarzać dwadzieścia (!) razy: z każdym dniem, w każdym kierunku zaczyna mi się dziać coraz lepiej. Trzeba to niezbędnie wymawiać ustami, a nie wyłącznie w myślach, liczyć zaś należy mechanicznie, do czego służy sznureczek z dwudziestu węzełkami.

Nie trzeba wtedy myśleć o pewnych poszczególnych rzeczach, które pragniemy osiągnąć, gdyż słowa: „w każdym kierunku" odnoszą się do wszystkiego.

Mówić o swych cierpieniach, rozwodzić się nad symptomami choroby — to znaczy pogarszać sprawę.

Żałować chorych i myśleć o nich ze smutkiem — znaczy szkodzić im; ażeby im pomóc prawdziwie, należy mieć wiarę w ich wyzdrowienie i otaczać ich myślami pogodnemi.

O starości nie stanowią lata, lecz myśl, że się starzejemy.

Słowa: „chciałabym bardzo" pociągają za sobą prawie zawsze: „ale nie mogę".

Obawiać się jakiejś choroby lub przykrości to tyle co je sprowadzić.

Jeśli mamy dokonać jakiejś rzeczy, musimy ją uważać za łatwą do przeprowadzenia, a wtedy nie tracimy energji na pokonywanie nieistniejących przeszkód. Jeśli zaś uważamy ją za trudną, trwonimy niepotrzebnie stokroć więcej energji, aniżeli sprawa wymaga. Obawa przed niepowodzeniem piętrzy trudności; wiara w powodzenie sprowadza je niechybnie.

Chcieć a życzyć sobie, to nie jest to samo.

Słowa: trudny, niemożliwy, nie mogę, nie potrafię, nie przezwyciężę się — powinny zniknąć ze słownika ludzi dążących do powodzenia. Zastąpić je należy słowami: to łatwe i — mogę.

Coué twierdzi, że autosugestji świadomej unikają dwie kategorje ludzi: zacofani, i ci którzy nie chcą jej zrozumieć. Zaleca wiarę i optymizm zawsze i wszędzie, nawet wbrew przypadkom, które mu przeczą.

Cokolwiekbądź myślelibyśmy o systemie Coué, nie krytykujmy go zbytnio przed dokładnem zapoznaniem się z nim. Pamiętajmy, jak rzadką rzeczą jest optymizm i pogodny uśmiech, jak wdzięczne zadanie spełnia ten który go wyczarować potrafi.

OBSERWATOR

ELŻBIETA BARRETT BROWNING

Elżbieta Barrett Browning (ur. w 1805, w hrabstwie Durham w Anglji) jest jedną z najsłynniejszych poetek angielskich. Od dzieciństwa odznaczała się szlachetnym charakterem, sercem współczującem, wysokim idealizmem; taką też pozostała przez całe życie. Pisać zaczęła dość wcześnie, a wybitny jej talent rychło zwrócił na nią uwagę znawców i miłośników literatury. To też była już znaną poetką, gdy się wreszcie ziściło jej gorące pragnienie, to znaczy gdy jej przedstawiono Roberta Browninga, którego uwielbiała jako poetę, nie znając go jednak osobiście.

Robert Browning jest to najpotężniejszy bodaj angielski genjusz poetycki wieku XIX, twórca *Paracelsusa*, porównywanego przez niektórych z Faustem. Jedno z jego dzieł, *Pippa przechodzi*, mamy po polsku w przepięknym przekładzie Kasprowicza.

Jak ona jego, tak on ją znał już z utworów i głęboko cenił. To wzajemne uznanie przedzierzgnęło się niebawem w namiętniejsze uczucie i dwoje poetów skojarzyło się węzłami małżeńskiemi. Elżbieta, wątła od dziecka, wkrótce jęła poważnie zapadać na zdrowiu, wobec czego Browningowie przenoszą się do Włoch. W kraju tym o łagodnym klimacie poetka spędziła resztę życia, zrzadka tylko i na krótko go opuszczając. Podczas włoskich walk wyzwoleńczych usilnie popierała tę akcję wpływem osobistym i pismami. Niestety, zdrowie nadal niedopisywało, i w Anglji mówi się o niej, że „całe życie spędziła na sofie". Umarła we Florencji, w roku 1861.

Sławy doczekała za życia. Entuzjastycznym jej wielbicielem był nawet tak wyjątkowo surowy krytyk jak genjalny poeta amerykański Edgar Allan Poe. Mąż zaś na zawsze zachował dla jej pamięci głęboki pietyzm, któremu dał piękny wyraz w przedmowie do wydanych przez się dzieł zmarłej.

W literaturze Elżbieta Browning znana jest zwłaszcza jako autorka powieści poetyckiej p. t. *Aurora Leigh*, tudzież subtelnych poezyj lirycznych.

Poniżej daję własny przekład jej *Pieśni o paziu* — rzeczy napisanej przez kobietę o kobiecie.

CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

PIEŚŃ O PAZIU

On rycerz nad rycerze
i młody paź złotowłosy
ze świętej wojny w Palestynie
wracali, śląc modły w Niebiosy,
jak pątnicy, co szepczą pacierze,
miast różańca — na kropelkach rosy.

— „O paziu mój, — rycerz rzecze, —
szlachetne z ciebie pacholę.
Nie wzdragasz się we krwi ubroczyć
kędziorów na swem czole
i pomnę: trzykroć tyś odbijał miecze,
co miały przeciąć mą dolę."

— „O dzielny rycerzu, — paź na to, —
jam chętnie przez całą drogę
wspominał wraz z tobą twe czyny,
przewagi krwawe i srogie;
lecz tu, pod zieloną tych gajów osłoną,
ja gwarzyć o tem nie mogę.

Okolica w ciszy przebywa,
ciurowie daleko za nami,
wierzchowce po miękkiej runi
cichemi suną krokami —
i w duszę mi spływa ochłoda szczęśliwa
wraz z rosą, co płaszcze nam plami.

Okolica jest cicha
i myśl ma dąży zoddali
do buków szumliwej piosenki,
co w Anglji naszej się żali,
i do tych ptasząt, co tam ninie
śpiewały, gdyśmy w Palestynie
z pogany wojowali.

Toć zda się słyszałem przed chwila,
jak modli się matka-nieboga:
błagalnie — pomnę — przed zgonem
szeptała o mnie do Boga.
I wiem, że Nieba się schylą,
słuchając, co powie twój sługa..."

Paź mówił dumnie i pewnie,
jak mówią zacni panowie —
boć nie miał krwi podłej w żyłach
ni podłej myśli w głowie.
I spojrzał nań witeź rzewnie
i tak mu z uśmiechem odpowie:

— „Ja, mości paziu, się trwożę,
żem sielski nastrój waszeci
zmącił wspomnieniem wojny,
jak rzekę mącą sieci.
Lecz przebóg! rycerz mówić może
o pani swej we wszelkiej porze,
czy miesiąc czy słońce świeci.

I oto ci się zwierzę:
gdy podjedziemy do ganka,
ma żona cała szczęściem spłonie,
witając mnie jak kochanka;
owóż, choć może miłuje mię szczerze,
lecz nie jest to m o j a bogdanka.

I oto czego się boję:
jej dom nie będzie-ć do smaku,
boś nieraz braku słów doznawał,
acz nie znasz męstwa braku;
i zdatniejszy twój miecz na boje,
niż twa mowa śród dworzan orszaku."

Podniósł na pana młodzieniec
nieśmiele dziękczynne źrenice
i uśmiech mu spłynął na oczy,
a fala krwi na lice —
i wierę! nigdy się w krwawszy rumieniec
nie stroją krase dziewice.
— „Do smaku będą mi, panie rycerzu,
małżonki twej świetlice."

... *Beati, beati mortui!*
Z nadmorskiego hen klasztoru,
o dwie mile albo dalej,
płyną dźwięki w hucznej fali,
jakby wiatr skroś łąk i boru
zniósł aż tu z nad pól dziewanny
wielki ołtarz Św. Panny
i pięćdziesiąt gromnic, co tam płoną,
i umarłą Xienię tam złożoną
i te mniszki, którym wczora jeszcze
pani Xieni dawała rozkazy, —
co śpiewają ninie pieśni wieszcze,
niewzruszone i zimne jak głazy;
bo snadnie duszę myśl im wierci
nie o nieboszczce, lecz o śmierci.

... *Beati, beati mortui!*
Wichr, co tak żałobnie woła,
krąży, krąży dookoła,
to znów kędyś precz umyka,
bo go nie chce szmer strumyka,
bo go nie chce szmer komyszy.
Mortui! i głos zanika
nim się z marzeń paź ocyka.
I rycerz słyszy wszystko, a giermek nic [nie słyszy.

I rzecze paź do barona:
— „Jeślim ci wiernym był sługą,
o jedną błagam cię łaskę.
Odpowiedz mi nie długo:
piękna czy szpetna twoja żona?
kochana czy znienawidzona?
masz-li kochankę drugą?"

Chmurnieje twarz barona.
— „Synem mi byłeś, nie sługą.
Wnet spełnię twą prośbę... Och, gdybym [był nigdy
nie przystał na prośbę drugą!
Wtedybym wiedział, czy piękna ma żona,
kochana czy znienawidzona!...
Wżdy słuchaj — powiem niedługo.

Lecz nie przystoi mi żałować,
żem darzył zbyt sowicie!
Tę ciężką cenę krwi i serca
spłaciłem należycie.
Kto poniósł śmierć od rany krwawej
dla mego ojca dobrej sławy —
miał prawo wziąć me życie!

Graf Walter był to dzielny pan
i druh ojcowy prawy.
Gdy k sobie mię powołał Król
na łowy i zabawy,
oszczerca honor ojca plami:
więc graf się porwał z hausknechtami
w obronie jego sławy.

Och, cicho pod marmurem szarym
proch ojca mego leży!
Och, rzewnie nad marmurem szarym
łka dusza wśród pacierzy!
Oszczerca mógł go czernić śmiało,
bo wiedział, że pod nazwą białą
dostojne serce bić przestało,
a miecz już nie uderzy!

Aliści pałasz imć Waltera
wciąż dzielnej starej dłoni słucha
i on to wtłoczył potwarz oną,
przeciw zmarłemu wymierzoną,
z gęby napowrót do brzucha.
Szkalownik, czując, że umiera,
ostatnie w sobie siły zbiera
i z dzikim razi szałem;
i owo nad nędznika ciałem
graf też wyzionął ducha.

Czemuż nie przeczuł tam mój duch,
iż rodzic mój tu kona!
Czemuż złoczyńcy zdradny miecz
nie przeszył mego łona!
Boć lepszy grób śród pól zieleni
niż ci, przemocą narzuceni,
zabity druh — i żona.

Zawodzi czeladź grafowa,
grafini milczy dumnie;
tak cicho leży na swem łożu,
jak pan małżonek w trumnie.
Aż wreszcie rzecze: „Niech mi biegą
słudzy po syna Pomszczonego!
Niech biegą tak, jak lecą groty,
bo śpieszę tam, gdzie już z tęsknoty
pan mąż mój wzdycha ku mnie."

A kiedym ukląkł przy jej łożu,
wyrzekła prośbę oną:
„Graf dał, gdyś był w królewskiej [świcie,
za twego ojca własne życie
a i me życie pono.
To dziecię przez was jest sierotą:
zato mi zechciej przysiąc oto,
że zrobisz je swą żoną."

Odparłem: Koń mój rży na dworze,
łódź czeka na głębinie —
i Bogum ślubował, że będę wojował,
by odbić Chrystusa świątynię;
lecz gotuj obrączkę i wołaj tu księdza
i sprowadź córkę swą ninie;
niech w mym zamku panuje, nim małżo- [nek wojuje
w dalekiej Palestynie.

— Cóż cię tak smuci, mości paziu,
że z ócz ci ślozy płyną?"
— „O biada! toć podobnież było
z siostrzycą mą jedyną!
Lecz ona w but obuła nóżkę
i pożegnawszy wieś-staruszkę,
przebrana za wiernego służkę,
za męża poszła drużyną."

I płakał paź, lecz śmiał się pan,
przepychem świecąc zbroi:
— „To było dobre dla twej siostry,
lecz nie dla pani mojej!
Bo ta kobieta nie kobietą,
i lubą mi nie będzie przeto,
co się po męsku stroi."

Szyderczo się uśmiecha paź:
— „Więc pan mój mniemać raczy,
że się kobiecość stwierdzić może
jeno w klejnotach i ubiorze
i włosach — nieinaczej?
Moja zaś skromna myśl wypadnie,
że się też jawić może snadnie
w wierności — lub rozpaczy."

Już się nie śmieje ani płacze,
lecz prawi tak namiętnie:
— „Och, jak kobieco się modliła,
gdy mąż spał obojętnie!
Kobieco bladła podczas bitwy,
choć zmarłaby zań chętnie!
A rączkę swą, od krwi czerwoną,
li niewieściemi łzami pono
tak obmywała skrzętnie!"

— „To było dobre dla twej siostry
i zacnie bronisz siostrzycy;
lecz moja pani niech się modli
w zamkowej swej kaplicy.
Hej! miłość dla mnie, nie lęk o mnie,
przystoi krasnolicej,
a śloza, co jej zwilży oczy,
niech się spokojnie toczy
z welonu, nie z przyłbicy."

— „A gdyby, zwiódłszy cię, za tobą
jak paź w daleką szła stronę,
a potem klęcząc cię błagała
o miłość i obronę?"
— „Przebaczyłbym i jako sługę
wiernego kochał lata długie —
ale nie jako żonę.

Spójrz, hen obłoczek płynie jasny
pod czystą nieb powłoką;
niewieścia cześć jest tak samotną,
tak białą, tak wysoką."
Posłusznie spojrzał paź do góry;
nie dojrzał — bo smutniejsze chmury
zaćmiły modre oko.

Łzawe spojrzenie spuszcza paź
z lazurów znów na błonie.
Ha! kto tam mknie? — paź o tem wie,
choć krzyk mu grzęźnie w łonie.
I paź widzi wszystko, a rycerz nic zgoła,
acz już Saraceni mkną obces dokoła
i gromko rżą ich konie.

Spokojnie rzecze ale cicho:
— „Przyśpieszcie, panie, kroku,
bo wrychle zatrze się drożyna,
w wieczornym niknąc mroku".
— „Ha, mądrze radzisz; ruszam żywiej,
a ty jedź przy mym boku."

— „Nie, panie, jedźcie przodem sami,
wymińcie mię dowoli;
ja muszę przyrychtować siodło,
by strzemię konia mi nie bodło,
bo już go — widzę — boli.
I chcę pomodlić się za kogoś,
co w srogiej jest niedoli.

Przed zmrokiem będę znów przy tobie,
lecz teraz jedź, mój panie!
Jak duchy rozstać się nie mogą
z istotą ludzką nazbyt drogą,
tak paź przy panu stanie."
Uśmiecha się rycerz na takie mrzonki
i precz odjeżdża po łanie.

Gdyby witeź był spojrzał na paziową [twarz
nie byłby się uśmiechał;
gdyby witeź był spojrzał na paziową [twarz,
pewnoby nie odjechał;
gdyby witeź był spojrzał na paziowy ruch,
wróciłby nie poniechał.
Gdyż straszna boleścią jest twarz owa [blada
i dziki jest ruch, którym paź z konia [zsiada
i precz odrzuciwszy rynsztunek, bez zbroi
samotny, samotny stoi.
Do serca drżącą dłoń przyciska
i tak zawodzi łzawie:
— „Żalim niewieściej zbyła cześci,
żem ci służyła prawie?
i czyliż nigdy już, sokole,
przy tobie nie zabawię?

Niech ci Bóg dobry żonę da
godniejszą, mój sokole!
Niech takąż wierność, lecz niech ma
bardziej kobiecą wolę.
A mnie niech weźmie Bóg do Siebie,
bo więcej cenią miłość w Niebie
niż na tym tu padole."

I z ziemi tęsknej wznosi wzrok
do niebios modrej chluby.
Jak cudnie owa chmurka lśni,
o której mówił luby!
Spocząwszy żalnym wzrokiem na niej,
jak gorzko płacze piękna pani
niepomna bliskiej zguby!

Kopyta dudnią, zgrzyta zbroja.
Hej! pogan rwie wyprawa!
Spokojnie stoi paź wrzekomy
ale niewiasta prawa
i nie drgnie, choć już wokrąg biegą;
duszy, złamanej przez lubego,
nie ima się obawa.

— „Chrześcijański paziu! strzeżesz owiec,
miast gościom nosić czasze?"
— „Ja strzegę sławy mego pana,
a noszę li pałasze.
Gdyby Pan Hubert zaś był blisko,
połknęlibyście pośmiewisko
i urąganie wasze."

— „Mów, gdzie jest pan twój, hardy [paziu,
byśmy go starli z ziemi!"
— „Szukajcie go jak wiatru w polu,
dożeńcie szkapy swemi —
choć wszyscy wiedzą, że pogany
ochotniej przed naszemi pany
biegają, niż za niemi."

— „Grzeczniejszym bądź, kłamliwy [giermku,
lub daj za kłamstwo gardło!"
— „Mój oręż mi pod stopą szczęka;
gdyby go miała moja ręka,
lepiejby się odparło."
Przeklęli ją szpetnemi słowy,
w pierś wbili noże do połowy,
Kochanka jest Umarłą.

Przyjęła cios morderczej klingi,
co wyszła z pochw ukrycia,
z uśmiechem jasnym i zwycięskim,
bez trwóg, bez serca bicia.
Ten uśmiech spłynął jej po twarzy
by światłość onych wirydarzy,
co grodzą śmierć od życia.

Ingemisco, ingemisco!
Z nadmorskiego hen klasztoru
huczą dzwony w mrok wieczoru,
jakby wiatr skroś łąk i boru
zniósł aż tu z nad pól diewanny
wielki ołtarz Św. Panny
i pięćdziesiąt gromnic, co tam płoną,
i umarłą Xienię tam złożoną
i strudzone mniszki, których serca
drżą, gdy ona skarga w mózg się [wwierca:
Ingemisco, ingemisco!

Pieśń za Xienię, co śpi w trumnie,
równie smutnie choć mniej szumnie
płacze także nad zabitą
ową panią znamienitą,
co wśród łąki leży sama.

Ingemisco, ingemisco!
Gdy się żałobna pieśń odzywa,
to zawdy, nim się skończy,
już nie o jednym tylko zmarłym śpiewa,

Noc była tak olśniewająco srebrna, że białe arabskie miasto, uśpione w granatowym cieniu ogrodów pomarańczowych, podobne było raczej do świetlistej wizji, rzuconej na tło potwornych, zębatych murów i potężnych bastjonów, otaczających pałace Sułtana.

Pani de Tourenne zbliżyła się do trójnoga, w którego misternie cyzelowanej mosiężnej czarze płonęło pachnące drzewo z Indyj, zapaliła papierosa i patrzyła w milczeniu na tarasy Fezu, leżące na dachach płaskich, tysiącletnich, tajemniczych domów bez okien. O tej późnej godzinie były puste, lecz codziennie o zmierzchu wykwitał na nich, jak kosztowny bukiet jaskrawych kwiatów — tłum Arabek w złotych, podobnych do tiar hantuzach i czarnych niewolnic, dźwięczących na przegubach rąk i nóg grubemi obręczami ze srebra.

Nie zwracając się właściwie do nikogo, pani de Tourenne powiedziała obojętnie:

— Arabi ze szczególnem zamiłowaniem ucinali i podobno jeszcze ucinają głowy niewiernym żonom. Ktoś mi powiedział, czy też gdzieś czytałam, że taką starannie uciętą i przeważnie bardzo piękną głowę zdradzony małżonek owijał w płat haftowanego złotem jedwabiu i posyłał w prezencie partnerowi lekkomyślnej damy — — —

Obróciła się ku gościom i nie wyjmując z ust papierosa, musnęła przelotnem spojrzeniem twarz męża i dodała z cichym, wyzywającym śmiechem:

— Gdyby tak twoi rodacy, Robercie, przejęli ten zwyczaj, zresztą zupełnie pozbawiony galanterji, od naszych przyjaciół, Arabów, niewiele zostałoby głów na karkach twoich kompatrjotek... Czy panowie widzicie ulice Paryża, Lyonu, Marsylji wybrukowane ostrzyżonemi i ondulowanemi główkami tych pań?

Trysnął śmiech i wesoło zapłonęły ogniki papierosów. Tylko komendant de Tourenne nie śmiał się i szklanemi oczami morfinisty patrzył na nagą, srebrną w miesięcznem świetle szyję żony. I wzrok wszystkich obecnych na tarasie mężczyzn bezwiednie padł na tę przepyszną szyję, dźwigającą dumną, małą czarnowłosą głowę.

Ta sama myśl, jak błyskawica przeszyła mózgi, spłynęła przykrym dreszczem po grzbietach i zgasła. Lecz spalone piekłem afrykańskich upałów twarze oficerów nie przestały uśmiechać się uśmiechem splecionym z zaczajonej żądzy, nieco bolesnej ironji i oczarowania bliskością tej kobiety tak groźnie i nieprzeparcie pięknej.

Tylko niebieskie dziewczęce oczy młodziutkiego porucznika spahisów marokańskich, hrabiego de Verneuil, przymknęły się na chwilę ze zgrozy, jakby przed wizją zbyt okropną. W ręce jego pękło cienkie szkło, pełne lodu i wina. Zaśmiał się, chcąc pokryć zmieszanie i rzucił nieszczerze jakiś żart, który pozostał bez echa.

Oficerowie zamienili między sobą krótkie, porozumiewawcze spojrzenia i znów na tarasie zapadła dręcząca cisza.

— Cóż to, poruczniku de Verneuil, nerwy? — zapytał drwiąco kontraltowy głos pani de Tourenne. — Takie lwiątko, taki bohater z Bab-Taza i Bibanu, odznaczony krzyżem wojennym z tyloma palmami i medalem Ouissam Alaonit?

Słowa padały lekko i niedbale, ale z pod olbrzymich, sztywnych i ciężkich od antymonu rzęs strzeliło spojrzenie napięte zimnym, okrutnym gniewem. Młody oficer zadrżał. Zaledwie od kilku dni znał trującą rozkosz kradzionych nocnych godzin, gorzką i jedyną rozkosz, spijaną z tych ust drwiących i okrutnych i już oto przeraziło go widmo jej utraty.

Pobladł lekko i przylgnął błagalnem spojrzeniem do oblicza kobiety.

Piękny Korsykanin, porucznik Rialti z Legji Cudzoziemskiej, wypił jednym haustem szklankę wina i wyciągnął ją ku biało ubranemu olbrzymowi z Senegalu, zastygłemu w kącie tarasu przy srebrnym kuble z lodem i baterji butelek. I gdy w jego szklance zapieniło się zmieszane z lodem wino szampańskie, Rialti przeszył spojrzeniem nienawiści kobietę znów wpatrzoną w noc utkaną ze srebra i seledynu i powiedział głosem nieco ochrypłym:

— *Madame*, sądzę, że należałoby wypić za zdrowie dzielnego kapitana La Roche.

Pani de Tourenne drgnęła lekko i znów obróciła się ku gościom. Wyjmując papierosa ze stojącej obok niej kasetki, zapytała z pewnem zainteresowaniem:

— A więc nie zginął?

— Niestety — oh, *pardon*, na szczęście bohaterski La Roche nie zginął, choć naprawdę czynił, co mógł, by nie wrócić, *Madame* — szydził Rialti. — Szaleniec ten zupełnie widocznie i zdecydowanie szukał śmierci...

— Jak to było, Rialti? — zapytał jeden z oficerów, który nie brał udziału w ostatnich walkach z Riffenami.

— Bardzo prosto — wzruszył lekko ramionami Korsykanin. — Przed kilku dniami La Roche wyruszył z ekspedycją karną, wysłaną do Bu-Am-Ran w celu uśmierzenia buntu plemienia Mestara, które spaliło i zrabowało kilka wiosek. Po ukończeniu ekspedycji kapitan La Roche prosił o powierzenie mu straży tylnej, jak wiadomo najniebezpieczniejszej w tego rodzaju awanturach. Był na czele kompanji tyraljerów marokańskich, plutonu spahisów i kilkunastu partyzantów. Mimo naszych próśb i rad, aby jak najprędzej wydarł się z tych dzikich, pełnych zasadzek wąwozów, La Roche umyślnie został w tyle i w dodatku tylko z partyzantami. W wąwozie Mekra-ben-Siri otoczyło go kilkunastu Berberów. Partyzanci — oczywiście — uciekli, a La Roche, otrzymawszy postrzał w piersi, spadł z konia także zresztą rannego i byłby wyzionął ducha pod sztyletami napastników, gdyby go skrwawionego i napół żywego nie był ocalił pluton spahisów, zaalarmowanych strzałami. I wiecie państwo, że La Roche był wściekły i zwymyślał swego zbawcę — porucznika spahisów, że mimo rozkazu, wrócił na tyły? Przewieziono biedaka natychmiast do Mezzan i lekarze skonstatowali, że choć rany jego nie są śmiertelne, postrzał otrzymany w piersi może być groźny. Przetransportowano go samolotem Henriota do Fezu i właśnie leży tam, w szpitalu Auvert — wskazał na białe mury, tonące w ciemnej masie ogrodów.

— Jaką ogromną stratę byłaby poniosła Francja, gdyby La Roche poległ — rzucił przez mocno zwarte zęby komendant de Tourenne.

I w jego szklanych oczach, zwróconych ku żonie, zapalił się ten sam przelotny błysk nienawiści, który przed chwilą uczynił tak drapieżnym wzrok porucznika Rialti.

Pani de Tourenne, strząsając uważnie popiół ze swego Chesterfielda, zdawała się nie słyszeć, niedbale wsparta o niską, kamienną balustradę tarasu. Jej blada suknia, tkana w duże, srebrne kwiaty, miała kolor nocy. Wąski brylantowy diadem lśnił, niby pył gwiazd na czarnym kasku wysoko spiętrzonych włosów.

I gdy szyderczo i boleśnie uśmiechnięty Rialti stanął przed nią z kryształową czarą pełną wina, wypiła ją do dna i uśmiechnęła się ze zmrużonemi szczególnie oczami.

— A więc za zdrowie kapitana La Roche, poruczniku... Cieszę się także, że wrócił z Mekra-ben-Siri, gdyż

prawdopodobnie dostanę od niego kobrę. Jeszcze przed rokiem obiecał, że mi ją przywiezie z Atlasu od jakiegoś znajomego zaklinacza wężów.

Stali na uboczu i Rialti, upewniwszy się, że zajęci w tej chwili rozmową oficerowie nie mogą dosłyszeć jego słów, syknął szyderczo:

— Kobra? Znakomicie dobrany prezent do typu pani, *Madame*. Już widzę tego strasznego gada, śpiącego potulnie, jak baranek u pani stóp na złotej lamie, podbitej szkarłatem, która w chłodne noce służy pani za przykrycie — —

— Jeszcze pan nie zapomniał? — zaśmiała się cicho, bawiąc się ciężkiemi obręczami ze złota i szmaragdów, dźwięczącemi na przegubach jej śniadych rąk.

Spoliczkował ją wzrokiem, w którym niewiadomo czy było więcej żądzy, czy pogardy. Wskazał ruchem głowy porucznika de Verneuil, bladego z zazdrości i trwogi.

— A teraz znów ten mały wpadł w sidła czarnej pajęczycy — powiedział ochrypłym półszeptem. — Pajęczyca nasyci głód miłości, pożre kochanka i zarzuci sidła na nowego — —

Z oczami utkwionemi w podobnem do białej wizji mieście arabskiem, uśmiechała się dalekim, jakby zamglonym rozmarzeniem uśmiechem. Piła nienawiść zmieszaną z kipiącą żądzą, jak wino upajające i najsłodsze, a akcenty pogardy bawiły ją raczej, niż obrażały. Wszak wiedziała, że jednem maleńkiem słówkiem, jednym milczącym uśmiechem może pogardę zamienić w szaleństwo uwielbienia i rzucić sobie pod stopy i tę piękną czarnowłosą głowę porucznika Rialti i te wszystkie głowy męskie, na które padną jej żółto centkowane oczy, tonące w cieniu długich, sztywnych od antymonu rzęs.



— Czy mało pani jeszcze ofiar? I kiedy skończy się ta potworna gra? — zacisnął z bezsilną wściekłością pięści i oczami pełnemi męki, wstrętu i namiętności spojrzał na nieruchomą panią de Tourenne.

Nie patrzyła na niego. Jej nalane księżycowym blaskiem źrenice błądziły gdzieś w okolicy szpitala Auvert, gdzie w białych bandażach miotał się w gorączce kapitan La Roche. Widziała wyraźnie jego brunatną, spaloną wichrem pustyni twarz i groźne, dzikie oczy, wżerające się niegdyś w jej piękność z nienasyconą pasją. Wypędziła go z przeklętego raju, jak tych wszystkich innych... O jakże musiał jej nienawidzieć, jakże musiał ją przeklinać, napróżno szukając śmierci...

I oto wrócił. W tym jego powrocie była jakaś tajemnicza groźba, jakieś okropne ostrzeżenie — —

Zadrżała lekko i nasunęła na nagie ramiona płaszcz podobny barwą, jak jej suknia, do bladej, gwiaździstej nocy. Coś, jak lęk, jak żal złagodziło na chwilę zimną wyniosłość jej śniadych rysów, wzgardliwą linję warg, rzeźbionych rozkoszą i okrucieństwem. Mała, czarna głowa, z której wiała niezłomna duma hiszpańskiej infantki i leniwy, wyzywający czar brunatnej syryjskiej niewolnicy, opadła zlekka wtył, jakby pod ciężarem niewysłowionego znużenia.

Porucznik Rialti spojrzał na nią ze zdumieniem i nagle poczuł, jak w sercu jego zgasła bolesna, z podeptanej miłości zrodzona nienawiść. Zapytał z drżeniem:

— Natie... Czy pani może żałuje? Żałuje nas wszystkich? I komendanta de Tourenne, i Laroche'a, i małego de Verneuil, i mnie naturalnie? Prawda, że pani nie zgubi małego de Verneuil? On ma taką starą biedną matkę i jest jej jedynym synem i chlubą, przyszłością i dumą... Prawda, że mimo wszystko pani ma serce, Natie?

Z ust jego wydarło się to imię pieszczotliwie, którem pozwalała nazywać się jeszcze tak niedawno, podczas krótkich kradzionych godzin szczęścia, zatrutego gorzkim posmakiem zdrady, a oszałamiającego jak haszysz.

Ale już Incarnation de Tourenne stała się sobą. Sprężyła się wyniośle, ściągnęła gniewnie brwi, wzruszyła ramionami z zimną, policzkującą wzgardą. I gdy młody oficer chciał ująć jej rękę, by prosić ją o łaskę — niewiadomo dla kogo, — czy dla komendanta de Tourenne, z którego uczyniła ruinę, czy dla „małego” de Verneuil, który dla niej oszalał, czy też może dla siebie samego, obróciła się do niego obnażonemi plecami, rzeźbiącemi się pod gwiaździstą gazą płaszcza i warknęła cicho, jak rozdrażniona pantera:

— Poruczniku Rialti!

Minąwszy go, podeszła do grupy gości wsłuchanych w opowiadania jednego z oficerów o ostatnich walkach z Berberami.

Zbliżenie jej wywarło zwykły skutek. Głosy zmilkły. Bronzowe twarze oficerów zwróciły się ku niej bezwiednie, jakby z niemem namiętnem zapytaniem. Zaczarowane oczy spijały z niej blask, a szeroko rozwarte nozdrza woń. Tajemne żądze, wykołysane w krwawych dniach zaciekłych pod morderczem słońcem walk, w bezsennych, duszących piekłem Scirocca nocach, pełzały dokoła niej, jak zaczajone płomienie. Wszystkie serca biły gwałtownie, pijane marzeniem, a na zasychających wargach wykwitało niewymówione, słodkie, zawrotne imię.

— Natie — zwrócił się do żony komendant de Tourenne — sądzę, że czas już na bridża.

I w jego szklanych od nadmiaru morderczej trucizny oczach zapaliło się na chwilę coś, jakby podziw dla tej niesamowitej piękności, otulonej w srebro i seledyn afrykańskiej nocy. (*C. d. n.*)

HELENA FILOCHOWSKA

JAK TO ONGIŚ DZIECI CHOWANO

Szary zmrok sączy się wolno do pokoju w staropolskim szlacheckim dworze. Na jasnem jeszcze tle okna, rysuje się delikatny, subtelny profil. Mgiełka siwych włosów unosi się nad wysokiem czołem, a oczy spuszczone patrzą w zeszyt: Ciocia Marynia czyta nam spisane przez siebie wspomnienia rodzinne — anegdoty słyszane dawno, historje - przygody z przed wieku, opowiadane jej ongiś w dzieciństwie... Zaludnia się szarzejący pokój, gdzieś z kątów wyłaniają się postacie marsowych wojaków napoleońskich, barwne mundury — szeleszczą robrony, tłoczą się w mglistych kłębach krynoliny, słychać turkot kolaski, przed winem obrośniętym gankiem, i woń dawnych sepecików, przewiędłych kwiatów, gdzieś się unosi z otwartych sekretarzyków prababek...

Ale mrok gęstnieje, ręka podtrzymująca zeszyt opada znużona.

— Już całkiem ciemno, nie mogę więcej czytać.— Ciocia Marynia obraca się ku nam. Delikatny profil niknie na białej szybie, a natomiast aureola włosów otacza wieńcem ciemną plamę głowy.

— To niech ciocia opowie nam coś ze swego dzieciństwa, jak to u dziadków bywało — sypią się natarczywe prośby z pośród zasłuchanej gromadki. — Jeszcze czar nie prysnął, a taka szkoda tej chwili zmroku.

— Chcecie wiedzieć jak to dzieci wychowywano ongiś?

I niedługo się daje prosić. Z żywością właściwą sobie, a barwnie jakby czytała, rozsnuwa przed nami droga cioteczka obrazy z nie tak dawnej jeszcze przeszłości, a tak nam już obcej i dalekiej.

Wywołujemy z mroków pamięci dobrze nam znany, dziś nie istniejący już, jasny, szeroko rozsiadły na całym szeregu białych słupów, dom naszych dziadków, w zielonym wieńcu lip i jesionów starego parku. A na ganku siedzi para staruszków: dziadek, zgarbiony, niski, wsparty na laseczce, jakoś zawsze filuternie i zagadkowo uśmiechnięty pod siwym wąsem, a obok poważna, pełna królewskiej godności, a jednak promienna dobrocią, babka nasza, o szlachetnych, pięknych rysach w obramowaniu siwych włosów, wypływających dwoma szerokiemi wstęgami z pod czarnego koronkowego czepka; wzorowy typ matrony polskiej, która w swem rodnem łonie dała początek tak licznej rzeszy pokoleń, otaczana przez nie zawsze czcią i miłością.

— Nie pieszczono nas w domu nigdy, — opowiadała ciocia Marynia, — po spartańsku nas raczej chowano, ale taki już był system wówczas: dzieci miały słuchać i nie zawadzać nikomu.

I przędła się opowieść o tem dzieciństwie z przed laty. Nam dziś, w „wieku dziecka” żyjącym, gdy społeczeństwo ku wychowaniu jego wszelkie starania wytęża, dzieciństwo owe, o które tak mało ongiś się troszczono, wydaje się raczej szare a może i smutne.

— Jak wiecie, należałam do „starszych”, a mama zajęta gromadką młodszych dzieci i rozległem gospodarstwem zostawiała nas całkowicie pod opieką babci Femci, wszak ją pamiętacie?

Ależ oczywiście, wszyscyśmy ją znali jeszcze, podziwiali, szanowali, to droga babka nasza, bo wychowawszy siedem córek swojej najlepszej przyjaciółki, wychowywała potem jej wnuki. Idealny typ kobiety wedle wzorów Giny Lombroso: jako młoda panna weszła do domu moich dziadostwa, aby tam zostać do śmierci jako wychowawczyni, nauczycielka, przyjaciółka, powiernica. Z zaparciem i abnegacją wszelkich swoich pragnień służyła drugim wiernie, z pogodnem poświęceniem, nigdy dla siebie nie wymagając niczego.

— Czy wiecie jak pracowita była? Odrobiwszy z nami lekcje, wyznaczała każdej zajęcie: ta ma czytać, ta zadanie przepisywać, ta włóczkę zwijać, a sama nie pozwalając sobie na chwilę wytchnienia, otwierała maszynę i szyła dla nas bieliznę i sukienki. Nieraz jeszcze mamie pomogła: to kwity napisać, to kąpiel dla dzieci młodszych zmierzyć. Twarda i wymagająca dla siebie i od drugich cnót owych żądała. Nas krótko trzymała: dużym już dzieciom nie wolno było biegać inaczej w ogrodzie jak pod jej czujnem okiem. Uczyła nas wszystkiego sama, historji i geografji, francuskiego i niemieckiego. Inny to był niż dzisiaj system nauki, cała nasza edukacja na czterech książkach się odbywała, co roku służyły te same, z tą tylko różnicą, że gdy z początku brałyśmy tylko wyjątki z nich, w miarę lat dopełniałyśmy ustępy i tak do końca przetrawiałyśmy te podręczniki, ale już gruntownie — możecie sobie wystawić.

— Jedno z najprzykrzejszych wspomnień naszego dzieciństwa — to częsty głód, który nam dokuczał. Zasadą było, że dzieciom nie służy objadanie się, a zatem lepiej nie dojeść. Na koniec stołu zawsze zepchnięte, nie oglądałyśmy nigdy lepszych kawałków na półmiskach, bo już je dawno starsi zabrali, ale i resztkami uważała czujnie „babcia Femcia” abyśmy się nie objadły. Rezultat był ten, żeśmy się ukradkiem wymykały do sadu i tam opychały rajskiemi jabłuszkami. Kwaśne to było i gorzkie, ale otumaniało chwilowo nasz głód.

Nie przez skąpstwo chyba odmawiano dzieciom jedzenia w domu, który utrzymywał całe rzesze służby, oficjalistów i przygarniał rok rocznie z biedniejszej rodziny licznych rezydentów i gości odsiadujących lata całe — tylko takie to były ongiś pojęcia o higjenie i potrzebach dla zdrowia.

— Dzieci nie pijały nigdy mleka ani kawy. Na śniadanie gotowało się zupę. Ach, jakież przykre wspomnienie tych kapuśniaków, barszczów i zup piwnych na czczy żołądek — z żalem wspominała ciocia.

Jak w jedzeniu, tak i w stroju spartańska względem dzieci panowała prostota.

— Byłam trzecia zrzędu, jak wiecie, i donaszałam zawsze sukienki starszych, nie zważał nikt na to że wzrostem wyższa byłam od innych, a więc gdy w spadku otrzymywałam sukienkę, która się już dwom innym wysłużyła, nie sięgała mi kolan, gdy zaś wyprostowałam się, stanik zbyt krótki wymykał się ze spódniczki i biała koszula z za paska błyskała. Czasem do gości nas wołano, wchodziłam więc do salonu skurczona w ustawicznej obawie, aby coś, gdzieś, nie wysunęło się niepotrzebnie. Witano mnie wówczas śmiechem: „bocian, bocian idzie”, a ja ukradkiem łzy gorzkie połykałam. Zawsze elegancka i wystrojona kuzynka Tosia mówiła mi nieraz: „poproś mamę o nową sukienkę”. Byliby mi rodzice sprawili ją może, ale ja zbyt dumna byłam, aby prosić.

Biedna ciocia Marynia, po tylu latach krzywda doznana w dzieciństwie nie zatarła śladów.

Zdrowia nie dała swoim wychowankom twarda szkoła dziadostwa, ale zasady chrześcijańskie i polskie wszczepiła w nich na całe życie, wzniosłym przykładem świecąc; tchnęła w nich umiłowanie ideałów rodzimych i tradycji szlacheckich.

Zabłysła jaskrawa łuna elektrycznych żarówek, płosząc ze starego dworu czar i widmo przeszłości, wywołane opowiadaniem.

Nie majaki już, lecz żywe postacie ułanów polskich, którzy tu kwaterują chwilowo, napełniają gwarem wesołym bawialne pokoje. A ciocia Marynia, gospodyni mądra, radna i zapobiegliwa, podejmuje gości ofiarnie, dostojnie, po szlachecku...

AMELJA ŁĄCZYŃSKA

WE WKLĘSŁEM ZWIERCIEDLE

Język naszym skarbem świętym,
Nie igraszką obojętną;
— — — — — — — — — — —
Jaki język — taki naród!!!
Boy-Żeleński

Wystarczy kilka dni zrzędu czytać uważnie nasze dzienniki, aby się przekonać jaki bezład panuje w umysłach, a anarchja w myślach. Napuszysty patos, nienaturalność, nieudolne archaizmy, różnorodne a cudaczne dziwactwa językowe, wymyślne dziwotwory i wszelakiego rodzaju i pokroju bałamuctwa spotykamy prawie na każdej stronie czytanego dziennika. Dziwnie męcząca i niesamowita atmosfera pozbawiona prostoty i ścisłości!

Wszystkie te właściwości potężnieją, urastają do pięknie wybujałych okazów patologicznych, jeśli nadarzy się jakaś uroczystość państwowa lub narodowa. Wówczas słowa przeciętnego sprawozdawcy dziennikarskiego usiłują prześcignąć w patosie i posłanniczej godności samego Skargę! Każde słowo stara się brzmieć jak harfa archanioła, w powadze prześcigać słowa wieszcza, osłupiać, zdumiewać, zniewalać, przerażać, odrywać od rzeczywistości i uwodzić ku wieczności. W tym celu najzwyklejsze wyrażenia zwykło się wypisywać wielkiemi literami, jakby to czyniło je podnioślejszemi i bardziej uroczystemi. Od czasu do czasu dorzuca się coś pancernego, mocarnego lub rycernego, potem wplata się nieco archaizmów, trochę łzawego sentymentalizmu, szczyptę bólu, odrobinę wiary i nadziei i niezwykła całość gotowa. Zaprawdę niezwykła, każde bowiem słowo połyskuje fałszywym udawanym blaskiem, z poza którego raz wraz przebija się ubóstwo myślowe i pustka uczuciowa. Prawda posługiwać się zwykła słowem szlachetnem a prostem, kłamstwo zazwyczaj stroi się w słowa „jako miedź brząkająca albo cymbał brzmiący”. A ten dziwny obyczaj tak się jakoś już utarł, wchodząc w nałóg, że wprost nie wyobrażamy sobie już dzisiaj żadnej uroczystości bez pokazu słów napuszonych i patetycznych, bez defilady umiłowanych archaizmów i dziwactw.

Nadomiar złego i poniewolnej śmieszności ta okolicznościowa frazeologja obraca się w tak ciasnych i niewymyślnych granicach pojęciowych, w tak ubogich ilościowo słowach, zwrotach i powiedzeniach, oraz figurach retoryczno-poetyckich, że nietrudno zdobyć można umiejętność jej władania, zwłaszcza że tych różnorodnych świąt, rocznic, uroczystości i jubileuszów niebrak. Przeciwnie, z roku na rok przyrasta ich okazała już i tak ilość, bogaci się splendor i ceremonjał, usłużnym uświęcony obyczajem.

Tak wygląda odświętna garderoba dusz naszych, życie codzienne ze swej strony też nie szczędzi umiłowanej i we zwyczaju już będącej okrasy słownej. Każda dziedzina ma swój arsenał pilnie strzeżony, sobie właściwy ceremonjał i rytuał pedantycznie przestrzegany. Życie sportowe może się pochwalić niejednym *wyczynem*, a życie artystyczne mniej lub bardziej doskonałym *wykonem*. Czyta się zatem często miłe dla ucha wzmianki o *wyczynie* Lindbergha lub Konopackiej, a w innej szpalcie przyganę lub pochwałę z powodu *wykonu* koncertu Chopina lub Beethovena Sprawozdawca sanitarny z przejęciem opisuje *przychodnie* lekarskie lub *pijalnie* mleka, zalecając w dobie samowystarczalności gospodarczej *zastrzyki* krajowemi specyfikami. Przygodny polityk albo tygodniowy sprawozdawca ekonomiczny od wycinania wiadomości ekonomicznych z niemieckich znienawidzonych dzienników, chętnie nadaje im cechy rodzimej i samowystarczalnej erudycji przez takie nadobne a swojskie wyrażenia jak *suma globalna*, *rok konjunkturalny*, *służba długów*, co ma oznaczać nie co innego, tylko sumę ogólną, rok o korzystnej konjunkturze gospodarczej lub handlowej, oraz procenty od zaciągniętych długów państwowych. Wśród innych wiadomości ekonomicznych czytamy niejednokrotnie o zmniejszającym *rybostanie*, albo co nie daj Boże *bydłostanie*, o niszczejącym w lasach państwowych *drzewostanie* lub o nadmiernym wahaniom podlegającym *ilostanie* naszych oszczędności. W artykułach wstępnych, programowych czyta się często o *poczynaniach* rządowych lub prywatnych, lub, co smutniejsze, o *uciekinierach* z zagrożonych pozycyj. Krytycy sztuk plastycznych chętnie znowu niekiedy posługują się słoneczną mową italską, przyjaźnie splatającą się z naszą słowiańską, i tak powstają miłośne twory tego symbolicznego zespołu jak: *autopodobizna*, oznaczająca portret własny, i *mezzo-figura* na oznaczenie postaci portretowanej do połowy. Z tej samej dziedziny pochodzą wyrażenia *dzieło kapitalne* i *twór muzealny* na oznaczenie dzieła wybitnego lub o trwalszej, niejednodniowej wartości.

Inni prawią posuwiście, acz przygodnie, o tem że „miazgą ideową utworów jest zbiorowy wysiłek”, że od morza idzie *zew* na całą Polskę, a od wschodu *wiew* zgnilizny i rozkładu. Nic dziwnego, że w tych warunkach potrzebny bywa liczny i kosztowny *personel* i że *reżym* w przedsiębiorstwach jest zazwyczaj bardzo kosztowny. Nie dziw, iż w tych warunkach nie tak łatwo „dźwignie się nasz Czyn”, nawet przy pomocy światłych politycznych *inżenierów*. Łatwiej jest bowiem cokolwiek *rozformować* tak jak szwadron ułański, niż sformować codzienny racjonalny i celowy wysiłek. *Pierwszoklaśne* pomysły i przemysły nie zastąpią niestety braku myśli i umiaru w słowach, uczciwości w czynach, logiki w działaniu. Niejeden chciałby *zakotwiczyć* swoje genjalne myśli i pomysły wirujące natrętnie w granicach *ustaw ramowych* lub koło *ustroju prezydencjalnego*, ale one zbyt jakoś lotnie unoszą się w krainach nieświadomości i absurdu.

Najchętniej jednak grupuje się i gromadzi wszelka myśl irracjonalna i mętna w dziedzinie polityki. Tu rządzi niepodzielnie wszelka dziwaczna przemyślność, przypadek i traf niespodziany. Błogosławiona dziedzina wszelkiej niemożliwości, będącej chlebem codziennym. Tu każdy jest *władny!* Nieograniczone możliwości, wprost do nieskończoności, pomnaża to iż w dziedzinie polityki nic jeszcze nie słychać o zawieszeniu broni, a cóż dopiero o jakimś pokoju! Tu jeszcze wojna toczy się w najlepsze! Ciągle jeszcze ciągną się *jednolite i niejednolite fronty*, podejmują strony zwaśnione nieustanne *ofenzywy*. W pole obstrzału pod huraganowy ogień nonsensu dostają się raz wraz całe stronnictwa lub ich przemyślni a doświadczeni w bojach przywódcy. *Domy cywilne i wojskowe* dostają się niespodzianie w linję strzału, zewsząd snują się zatrute gazy, żądza czynu, nie tego zwykłego czynu, ale pisanego przez wielkie C, ogarnia niepodzielnie wszystkich dostojników i ich czcigodne *małżonki*. W Polsce bowiem tylko zwykli śmiertelnicy miewają żony, ludzie wyżej postawieni miewają wyłącznie *małżonki*. W tej nieubłaganej walce pociski nie przebierają, trafiają nawet w *najwyższe głowy państwowe*. Prawdziwie zdemokratyzowane pociski, wobec których wszyscy są równi.

Niezwykle miła i osobliwa ta dziedzina polityki! Już same nazwy rozlicznych partyj i partyjek budzą swoisty, a tak przedziwnie miły i nęcący nastrój, tak niepokojący i ciekawy! Jak to pięknie i miło wieczór bywa, kiedy ze szpalt swawolnego dziennika zaczną nagle przemawiać do nas różne łepskie umysły i oswo-

jone poglądać figlarne oblicza *Pepeesu, Chadecji, Endecji, Enpeeru*, albo *Luendecji*. A czy smutne i zwątpiałe serce nie ożywi się nagle na dźwięk wyświechtanych frazesów *Endeka, Pepeesa, Chadeka*, albo *Enzetela?* A któryż rząd nie zadrżałby przed gniewem *Chjeny*, lub który minister nie ugnie się przed wolą *Chjenopiasta?* Co oprzeć się zdoła potędze, ba wszechwładzy, *Centrolewu* albo *Centroprawu?* Tu nie pomogą już ani bohaterskie czyny *peowiackie*, ani górne i chmurne zamierzenia *obwiepolskie*. *Obwiepol* mężny w radzie, *Peowiak* skutecznie grzmoci! Taka już logika jest naszego życia!

Tak potężnie rozkrzewione życie polityczne, trawiące się w nieustannej wysilającej walce, niekiedy kryje się w fortece niezdobytych twierdz, brzmiące dziwnie a tajemniczo, jak znaki chemiczne. Niewtajemniczony zginie w labiryncie znaków bezpowrotnie i beznadziejnie. Czy nie groźne znaki symboliczne, w których kryje się coś niezbadanego i wielkiego? *P. P. S., Z. L. N., P. S. L.* i *N. P. R.* Nagle w ostatnich czasach na horyzoncie życia politycznego wyłoniła się nowa wszechpotężna mgławica o chemicznym znaku *B. B. W. R.* W krótkim czasie zasunęła ona w zupełną nicość i zapomnienie *O. W. P.*, sprzymierzając się jednocześnie z niewidzialną *P. O. W.* i wykluwającym się z jajka dziejowego *Z. N. R.* Wobec tak wszechpotężnego związku zbladły wszystkie dotychczasowe potęgi partyjne, ba nawet same stronnictwa rozpadły się jak domki z kart, ustępując pola siłom zmierzającym do naprawy zła i grzechu wszelakiego. I czyż dziwnem być może, że wszystkie władze oficjalne czyto *M. S. Z.*, czy nawet *M. S. Wojsk*, nie mówiąc już o takich jak *M. W. R. i O. P.* przybladły, poskromniały?

O ileż skromniej wyglądają wszechpotężne dawniej, a dzisiaj znakomicie przez generałów i pułkowników rządzone *P. K. O.* lub *B. G. K.* Nic dziwnego, wszystkie razem wzięte *L. O. P. P., L. M. i R., T. O. M., Z. A. S. P., T. S. L., T. N. S. W.*, czy *P. T. P.*, wraz z *W. F. i P. W.*, a nawet bohaterska *M. S. O.* nie zdołałyby obalić logiki i potęgi faktów dokonanych.

Jakżeż mile na tem tle rzeczy i wydarzeń wielkich brzmią słabo zarysowane drobiazgi życia codziennego takie jak *Nuza, Guza* (ś. p.), *Pezet, Polbal, Pepege, Błyskol* albo *Ceratopol!* Takie proste słowa a ile w nich niewypowiedzianego wdzięku?

W nawale wrażeń codziennych zatracamy niestety z oczywistą szkodą dla siebie wrażliwość na tego rodzaju piękności, czekające na nas na każdym kroku. Ze wstydem wprost wyznać winniśmy imieniem naszych przodków, że nie umieli oni posługiwać się mową ojczystą, że nie wydobyli z niej ani części tej piękności, którą dzisiaj w całej krasie i dostojności odsłania nam każdy dziennik. Słusznie mówi Boy-Żeleński: „Nie krwią ale atramentem bije dzisiaj ludów tętno", ale niekiedy także i topi się w nim rozsądek i zdrowa myśl społeczeństw.

Czy rzeczywiście taki obecnie naród, jak przytoczony język?

BLUE BOY

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

JULJAN TUWIM: Rzecz Czarnoleska. 1929. — Jest w człowieku pewien zasadniczy sceptycyzm, który mu każe mieć się krytycznie do rzeczy, okrzyczanych przez ogół. Ponieważ Tuwima uznaje vox populi za najpierwszego z poetów powojennych, więc od czasu do czasu budzi się w nas jakaś reakcja, jakieś powątpiewanie na temat: „e, to znowuż przesada..." Taka postawa utrzymuje się aż do chwili, gdy się weźmie do rąk nowy tom Tuwima. — Trudno określić jak silnym czarem tchnie Rzecz Czarnoleska. Wiersze tu zawarte nie stanowią żadnej całości ideologicznej; jednakże wiersze najlepsze w tym tomiku, są najlepsze nie w tym tomiku tylko, lecz i w całej dzisiejszej poezji polskiej. Taka „Hagjografja", takie „Kartofle", takie „Gorące mleko", tacy „Fryzjerzy" — to wszystko jest nieprześcignione w swej konkretnej doskonałości. Kiedyś w przyszłych antologjach nie znajdzie może miejsca 9/10 naszej twórczości współczesnej; lecz wiele utworów Tuwima znajdzie się tam na pewno. W-C-I

JAN ROGALA: Zarzewie. Powieść. Gebethner i Wolff. Dzieje syna emigranta polskiego, który (syn) po wojnie wraz ze swą żoną — Francuzką — wraca z Paryża do kraju, by tu pracować naukowo i organizacyjnie. W-C-I

ANDRZEJ STRUG: Mogiła nieznanego żołnierza. Powieść. 2 tomy. Mortkowicz. Warszawa, 1928.

Nowe wydanie wstrząsającej powieści znakomitego autora, osnutej na tle przeżyć wojennych stadła małżeńskiego. Jego odysea w rosyjskiej niewoli, jej „upadek moralny" w kraju, tragedja ich córeczki — wszystko to skreślone z przedziwną mocą konkretnego realizmu. W-C-I

AURELJA WYLEŻYŃSKA: Czarodziejskie miasto. Powieść przedstawia przeżycia młodej kobiety, która, po zawodzie miłosnym, uciekła z Warszawy do Paryża.

Z całą świadomością w tem oschłem zdaniu zawarłem fabułę książki, aby o tem więcej nie mówić. Marja nie jest bohaterką tej powieści, lecz, jakby instrumentem — oczy, mózg, serce — posłusznym i niewłasnowolnym, na którym wygrywa się symfonja czarodziejskiego miasta.

Wiadomo, jak przemożnie panuje Paryż we francuskim romansie. Niema tak zapomnianej ulicy, być może niema nawet domu, prócz tych które się dopiero podnoszą z fundamentów, niema placu, skweru, alei ogrodowej, którędyby nie przeszło czyjeś strapione lub wesołe serce. Przedziwna mgła, utkana z łez i uśmiechów powieści francuskiej, przesłania szare kamienie Paryża. Ale zdaje mi się, że samo miasto nigdy dotychczas nie sprzykrzyło sobie roli tła, nie wycisnęło prawie poza ramy i osób i fabuły, aby wypełnić swym urokiem całą naszą uwagę.

Mógł to zrobić tylko ktoś obcy, kto zobaczył Paryż świeżem i nieprzyzwyczajonem spojrzeniem, komu rzeczywistość ulic, ruchu, życia okazała się ważniejszą ponad zmyślone przygody kilku postaci. Owa Marja, której oczyma, mózgiem i sercem gra czarodziejstwo miasta, nie zakrywa sobą jego przepychu. Przeciwnie, biorąc każdy nowy urok jak nowe lekarstwo dla swej skołatanej duszy, nie omija ani źdźbła piękna, od refleksu światła na mokrej od deszczu ulicy do ciekawych kominów na dachach starych domów. Odbywa się bardzo zajmujące współżycie człowieka z miastem, raz niby podróż odkrywcza i sentymentalna, to znów splątanie się arteryj tych dwóch różnych, ale jednako niespokojnych organizmów. Powstała z tego książka ciekawa, miła, pełna pięknych obrazów i drgnień bardzo subtelnych.

Autorka publicznie skarżyła się na niedbalstwo, z jakiem nakładca wydał jej książkę. Uczynił jej istotną krzywdę. Ta delikatna robota pisarska wymagała i odpowiedniej oprawy. Rysunki zawarte w książce również nie dodają jej blasku. Wyobrażam sobie następne wydanie w zgrabnym, małym formacie, na bezdrzewnym papierze, bez ilustracyj. JAN PARANDOWSKI

ZDZISŁAW DĘBICKI: Portrety. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1927.

Ci, którzy mieli sposobność słyszeć przez radjo piękne odczyty red. Dębickiego o pisarzach polskich, z przyjemnością przeczytają je obecnie w formie książkowej. W tomie niniejszym „sportretowani" zostali nast. autorowie: Aleksander Świętochowski, Józef Weyssenhoff, Wacław Sieroszewski, Stanisław Przybyszewski, Wacław Berent, Jan Kasprowicz, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Leopold Staff, Artur Oppman, Andrzej Strug, Adolf Nowaczyński, Marja Rodziewiczówna, Zygmunt Bartkiewicz, Zenon Przesmycki, Antoni Lange i Jan Lemański. W-C-I

EWELINA EULENFELD: Teatr dla Dzieci. 21 obrazków scenicznych wierszem i prozą. Nakł. Państw. Wydaw. w Kurator. Okręgu Szkoln. Lwowsk. 1928 r. — Z umiłowania dzieci i ich świata powstał ten zbiorek. To też pełno tam rzeczy cudownych a tak przecież naturalnych do zrealizowania w wyobraźni dziecka, która tych cudów pożąda i ich istnienia się domaga. Tańczące pajace, krasnoludki, wróżki w najlepszej komitywie z dziećmi, ze wszystkiemi ich sprawami, figlami i zamiarami. Wielkie i subtelne poczucie sprawiedliwości w duszy dziecka jest w tych utworach wszędzie poszanowane. Zło jest i istnieje jak i dobro, ale „każdemu odmierzono wedle spraw jego." — A nad wszystkiem króluje idea miłości, która pokonywa samolubstwo, złość, łakomstwo, wady tak częste zarówno u małych jak i dużych ludzi. — Język potoczysty, naturalny, owiany gdzie trzeba urokiem poezji. Wszystkie utwory łatwe do inscenizacji; autorka udziela rad i wskazówek; znać że ze sceną dziecinną doskonale obznajomiona. — Śliczna książeczka zaleca się sama tym wszystkim, którzy dzieci kochają i niemi się zajmują.



MARJA BŁAŻYŃSKA

MARJA BŁAŻYŃSKA, czarująca śpiewaczka, którą raduje i szczyci się Lwów, jest zewszechmiar niezwykłem zjawiskiem na estradzie. Przepiękny, ciepły, świetnie ustawiony głos, którym włada ze zdumiewającą łatwością, zlewa się w harmonijną całość z wysoką kulturą artystyczną i szlachetnym umiarem. Wszystko jest tu dociągnięte, doskonałe, pełne wytwornej prostoty i godne podziwu, którego jej też nie szczędzą znawcy sztuki i krytycy. To też możemy być dumni, że artystka tej miary roznosi sławę imienia polskiego za granicą, święcąc tam prawdziwe triumfy. Ostatnio w prasie wiedeńskiej pojawiły się po jej koncercie entuzjastyczne oceny, z których przytoczymy krótkie wyjątki. I tak np. *Reichpost*: „Młoda polska śpiewaczka, Marja Błażyńska jest fenomenem głosowym. Głos artystki brzmi jasno i metalicznie, jak to prawie tylko u Słowian się zdarza, i zachowuje to ciekawe zabarwienie nawet w forte; niezwykle delikatne i lekkie są wszystkie przejścia i pianissima." — *Wiener Allgemeine Zeitung*: „Zaszczytnie w Polsce znana śpiewaczka, Marja Błażyńska, przedstawiła się wiedeńskiej publiczności nader korzystnie na swoim wieczorze pieśni. Artystka, wdzięczne i interesujące zjawisko, rozporządza pięknie wyszkolonym sopranem, który w górnych tonach rozbrzmiewał olśniewająco." — *Der Tag*: Marja Błażyńska — to naprawdę nadzwyczajny talent. Jej możliwości techniczne są podziwu godne. Wszystko jedno, co zaśpiewa, zadziwi zawsze miękkością i czystością swego giętkiego głosu. Jej forte jest pełne namiętności, jej piano — jak tchnienie. To ekstatycznie - zmysłowo, to z porywającą tęsknotą śpiewa — i zdobywa wielkie powodzenie." — *Neue Freie Presse*: „Marja Błażyńska posiada piękny głos. Uczucie i prostota w interpretowaniu pieśni zjednały natychmiast publiczność, która zgotowała jej serdeczne przyjęcie." — *Neues Wiener Journal* pisze „o pięknym głosie, stylowej interpretacji i kulturze"; również o „zdobyciu dużego uznania dla szeregu nieznanych tam polskich kompozytorów."

DO POLEK. — Od Lwowsk. Komitetu Wystawy Pracy Kobiet w Poznaniu otrzymaliśmy nast. odezwę: „W maju b. r. zostanie otwarta Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu. Oddzielny pawilon zajmie Wystawa Pracy Kobiet, zorganizowana w jak najszerszym zakresie, a więc sięgającym w przeszłość i doprowadzonym aż do chwil ostatnich. — Czy zdajemy sobie sprawę ze znaczenia i doniosłości tego wielkiego zadania? Czy wczuwamy się dostatecznie w żywe tętno, jakiem winna zabić praca nasza, żeby odtworzyć prężność wysiłków i kucie młotów podziemnych w okresie niewoli; żeby wykazać udział nasz w gigantycznej walce o wyzwolenie; żeby wreszcie podkreślić nadludzki wysiłek, z jakim w ciągu lat 10 przyczyniliśmy się do zbudowania Polski dzisiejszej? — Ogólno-Krajowa Wystawa ma zaświadczyć o tężyźnie i woli polskiego ducha. O głębi naszych narodowych ukochań. O zrozumieniu potrzeb chwili. O nawiązaniu przeszłości z teraźniejszością, dla utorowania drogi przyszłym zdrowym poczynaniom. — Od zarania dziejów naszych, Polka była twórczym czynnikiem we wszystkich sprawach rozwoju narodowego. Czynnikiem którego przeoczyć nie wolno, który uznali nasi historycy i myśliciele. — W niesłychanie ważnej dobie, kiedy mamy przedstawić całemu światu naszą myśl, siłę i potęgę twórczą, nasze dokonania, zamierzenia, programy, winnyśmy stawić się do roboty wszystkie bez wyjątku. — Wytężmy zgodnie wszystkie siły, aby zsumowanie trudów naszych wypadło ku chlubie naszej. Aby objęło wszystkie dziedziny, zakreślone przez Komitet Wystawy Pracy Kobiet. Aby stało się dla obcych narodów rewelacją tej niespożytej żywotności, której nie zdołały stłumić lata niewoli. — Własnym trudem tworzymy dział wystawy kobiecej. Nasz pawilon ma stanąć według projektu architektki Hryniewieckiej - Piotrowskiej. Całe urządzenie dokonane będzie wyłącznem staraniem kobiet. Dla pokrycia kosztów sprzedajemy żetony 1 i 10 złotowe. Każda Polka winna zaopatrzyć się w nie i popierać nabywanie ich wśród najliczniejszych warstw społeczeństwa. — Bądźmy wzorem solidarnej i ofiarnej gotowości w dokonaniu czynu, który ma zaświadczyć, czem była i jest kobieta polska w ogólnej twórczej pracy narodu."

I. K. C. podaje: „W Indjanopolu zawiązało się „Stowarzyszenie przyszłych teściowych", które prawdopodobnie obejmie całe Stany Zjednoczone. Celem tej nowej kongregacji jest udaremnianie małżeństw, których szczęście nie jest zapewnione z powodu różnicy charakterów, wysnutej na podstawie orzeczeń grafologów, astrologów, chiromantów i instytutów psychotechnicznych. Przeszkodę w zawarciu małżeństwa stanowią także niepewne stosunki materjalne, które przeszkadzają mężowi w karjerze i dowolnem rozporządzaniu swym losem. Obowiązki swoje pojmuje zarząd stowarzyszenia w ten sposób, że każda z członkiń jest zobowiązana zgłosić każdego adoratora swej córki, aby można było o nim zebrać miarodajne informacje. Przypuszczalnie matka, która ma na wydaniu mniej więcej 8 córek od 32 do 40 lat, woli nie zgłaszać konkurenta, aby go Boże broń nie spłoszyć. Wszak wiadomo, że panna do lat 25 zapytuje o adoratora jaki on jest, od 25 do 30 pyta zazwyczaj kim on jest, po trzydziestce zaś pyta gorączkowo gdzie on jest."

Z RZYMU DONOSZĄ: Niedawno przez radę ministrów zwiększony o sto procent podatek starokawalerski został obecnie dekretem królewskim zatwierdzony i wchodzi w życie od 1. stycznia 1929. Od podatku tego zwolnieni są jedynie mężczyźni niezdolni do pracy oraz pozostający w szpitalach, o ile pozbawieni są dochodów.

DZIESIĘĆ TYSIĘCY KOBIET urządziło niedawno w La Paz w Boliwji pochód demonstracyjny przeciwko rozporządzeniu, nakazującemu wszystkim Indjanom noszenie „cywilizowanych" strojów.

MONSIGNOR COLLSON pobłogosławił we Francji, w Rueil-Seraincourt, związek małżeński pomiędzy p. Janem Cierszalem, b. administratorem teatrów pomorskich, a p. Heleną Grosówną, primabaleriną teatru Bendy w Toruniu.

SĄD W WIEDNIU niedawno rozstrzygnął negatywnie zagadnienie, czy mąż ma prawo czytać korespondencję swej żony, skazując oskarżonego inż. Karola Reissa na karę w wysokości 600 zł. Sędzia oświadczył, że mężowi przysługuje wgląd w zarząd domu i związane z tem wydatki, ale nie wolno mu kontrolować korespondencji żony.

DOKTORKA MARJA FREDRO-BONIECKA, znana w świecie sportowym jako jedna z najlepszych tennisistek polskich, wygłosiła przez mikrofon radjostacji krakowskiej nader ciekawy odczyt p. t. „Rozwój nowoczesnego sportu kobiecego w Polsce."

W OSTATNICH CZASACH słynne amerykańskie stowarzyszenie Ku-Klux-Klan zdołało pozyskać wiele nowych członków płci pięknej.

MIASTO LILLE we Francji stawia pomnik swej obywatelce, Louise de Bettignies, która podczas ostatniej wojny, gdy Lille zajęte było przez Niemców, z niezwykłem bohaterstwem i poświęceniem utrzymywała komunikację pomiędzy tem miastem a frontem francuskim. Po dwu latach tej niebezpiecznej pracy wpadła w ręce Prusaków i umarła w więzieniu.

MONICA M. GARDNER wydała historję Polski w języku angielskim.

W KRAKOWIE otwarte zostały Wyższe Kursy Katechetyczne dla kobiet.

W RAZIE zrzeczenia się praw do tronu angielskiego przez księcia Walji następczynią tego tronu zostałaby córka drugiego syna króla Jerzego, księcia Yorku. W chwili obecnej osoba ta liczy dwa lata.

BOLSZEWICKA AGITACJA antyreligijna wśród ludności muzułmańskiej na Kaukazie doprowadziła do tego, że kobiety zaczęły się ukazywać bez zasłony na twarzy. W Tyflisie i Baku doszło z tego powodu do starć, gdyż mężowie rzucili się na kobiety idące bez zasłon i pobili je. Między mężami a braćmi, którzy stanęli w obronie kobiet, przyszło do krwawej walki.

MŁODA FRANCUZKA, panna Bequignon, rozpoczęła wykłady na wydziale prawniczym w mieście Rennes we Francji. Jest ona tym sposobem pierwszą we Francji kobietą, którą dopuszczono do wykładów prawa.

10-EGO GRUDNIA zmarła w Warszawie ś. p. BRONISŁAWA ZE SULIMIERSKICH TARCZAŁOWSKA, w wieku lat 101. Zmarła była uczestniczką powstania 1863. Była obywatelką ziemi wieluńskiej i siostrą zmarłych już dawno Filipa Sulimierskiego, redaktora „Wędrowca", oraz Artura Sulimierskiego, profesora szkół warszawskich i radcy stanu. S. p. Tarczałowska osierociła dwóch synów w wieku lat 70 i 68 oraz dwie córki w wieku 55 i 50 lat. Zachowała do ostatniej chwili całkowitą jasność umysłu, kazała sobie czytać dzienniki, szczególniej interesując się polityką wewnętrzną. Podczas ewakuacji Warszawy przez Rosjan, wyjechała z rodziną do Rosji. Do kraju wróciła w roku 1918.

PANNA INES ORTUZARO została niedawno akredytowana jako konsul chilijski w mieście angielskim Hull. Jest to pierwsza kobieta, piastująca w Anglji tego rodzaju stanowisko.

ORYGINALNĄ KARJERĘ obrała sobie lady Doria Hope, najstarsza córka księcia New Castle, która postanowiła poznać życie kobiet pracujących i w tym celu objęła posadę panny sklepowej w jednym z wielkich sklepów nowojorskich, z gażą 20 dol. tyg.

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

Wybór i skompletowanie w najdrobniejszych szczegółach kostjumu do sportów zimowych przedstawia większe trudności, aniżeli przy oglądaniu szkiców modeli wydawaćby się mogło. Na papierze wszystko takie ładne i proste. Ale już przy zakupnie zjawiają się różne wątpliwości, a cóż dopiero mówić o przykrych doświadczeniach w praktyce.

Otóż to właśnie! Ta praktyka uczy dopiero jak to celowo ubrać się należy, ażeby nie ziębnąć, mieć pełnię wygody, nie razić na śnieżystem tle przyrody i być w zgodzie z modą, t. j. zachować współczesny szyk w sylwetce. Tu muszą zatem podać sobie zgodnie ręce: celowość i estetyka.



Jako doskonały pod każdym z wymienionych względów został uznany podczas olimpjady w Saint Moritz kostjum do nart, który tutaj podajemy. Praktyczny, starannie uszczelniający, nieprzemakalny, wygodny, o dyskretnej nucie dystynkcji. Wykonany z granatowego whitcoard; spodnie długie, krojem norweskim, obciśnięte jedynie wdole. Krótka kamizelka z kołnierzem stojącym, zapięta zprzodu systemem patentowym, skrytym pod listewką. [System ten nazywają Niemcy „Zipp”, Francuzi „éclair”; widujemy go często przy damskich torebkach, przy śniegowcach, kamaszach, czasem przy bluzkach, sukniach i t. p.] Sweater, czapka i rękawiczki dobrane dokładnie do koloru kostjumu. Sweater nosi się pod ubraniem tak, że tylko wywinięty u szyi kołnierz jest zeń widoczny. Czapka uszyta z materjału kostjumu, obłożona trykotażem.



Ci, którym whitcoard wydaje się za gruby, przenoszą kostjumy z sukna — które jednak jest przemakalne — albo loden szwajcarski, znacznie lepszy od poprzedniego.

Spodnie norweskie, t. j. długie, są celowsze od krótkich i przyjmują się coraz więcej. Od kostjumu narciarskiego wymagamy przedewszystkiem dobrego uszczelnienia, któreby uniemożliwiało przedostanie się śniegu i wilgoci pod ubranie. A spodnie krótkie, uzupełnione długiemi, wełnianemi pończochami, nie zabezpieczają dostatecznie przed powyższemi niedogodnościami. W dodatku, obciśnięte w okolicy kolana, mogą krępować ruchy.

Pod rękawice z jednym palcem praktycznie jest włożyć mięciutkie i cienkie rękawiczki z wełny kaszmirskiej lub wielbłądziej. Rękawiczki z wysokiemi mankietami z białej lub kolorowej i w deseń wełny nie rażą wprawdzie przy granatowym kostjumie, ale też nawet porównać ich nie można z praktycznemi zaletami poprzednio opisanych.

Poważny wygląd granatowego kostjumu próbują niektórzy rozjaśnić szalem białym lub w kolorze surowego jedwabiu. Pomysł to niezbyt szczęśliwy, gdyż narusza zwartość stylu.



Okrycie, wdziewane na kostjum po jeździe, nie jest wprawdzie jego integralną częścią, ale przecież warto wspomnieć i o niem. Pierwsze lepsze okrycie noszone w mieście lub w podróży nie daje dobrej całości z kostjumem. Kurtki ze skóry, jakkolwiek spotykane często, wyglądają za ciężko, zwłaszcza gdy są podbite futrem. Najodpowiedniejsze są krótkie okrycia z wełny angielskiej lub z tweedu, podszyte materjałem z wielbłądziej sierści; całość robi wybitnie sportowe wrażenie, a przytem jest lekka i dobrze grzeje.

Drugim typem kostjumu niemniej wytwornego jak pierwszy, ale za to mniej praktycznego ze względu na kolor, jest model z białego materjału „snowoot”.

I przy nim również guziki są zastąpione zapięciem patentowem przy bluzie i przy spodniach. Kieszenie symetrycznie rozmieszczone; czapka, z daszkiem i okryciem uszu, wykonana z materjału kostjumu. Rękawice i skarpetki mają mankiety i wyłogi z barwnym szlakiem w odcieniach beige i bronzowym. Snowoot jest materjałem nieprzemakalnym, nie przepuszczającym śniegu, deszczu i wiatru.

dokończenie na str. 46



KOSTJUM Z GRANATOWEGO WHITCOARD ZAPREZENTOWANY MA OLIMPJADZIĘ W St. MORITZ

KOSTJUM Z BIAŁEGO SNOWOOT



O TRAVESTI

Bale maskowe oddawiendawna należą do najulubieńszych zabaw i właściwie nigdy nie wychodzą z mody. Kilkakroć zmieniały się epoki, style, tańce, ale zamiłowanie do maskarady nigdy nie gasło ani nawet nie malało. Równie chętnie przebierają się dziś tancerze przeróżnych stepów i trottów, jak niegdyś przodkowie ich, którzy przy dźwiękach klawicynu, fletni i viola d'amore misternie wykonywali sarabandy, polki i menuety. Równie chętnie wkładają maski kobiety jak i mężczyźni, dorośli jak i dzieci, ludzie dystyngowani zarówno jak i rozbrykana w karnawale studenterja.

O Paryżu w każdym razie można śmiało powiedzieć, że każdy bal jest mniej lub więcej maskowy. Niektóre nawet tak ściśle, że ktoby zaryzykował wybrać się tam w zwyczajnym balowym stroju, ten będzie musiał od progu wrócić do domu, choćby to była nawet najpiękniejsza i najpiękniej ubrana pani. Niema absolutnie pardonu. I słusznie. Wśród masek rażą bowiem zwyczajni tancerze, mniej od nich swobodni, mniej rozbawieni i znacznie mniej interesujący.

Jak nie ulega modzie sam zwyczaj przebierania się, tak też i rodzaje kostjumów są od niej niezależne. Można się przebrać, jak się komu podoba. Stroje ludowe, historyczne ubiory, symboliczne kostjumy, postacie z legendy, uniformy różnych zawodów — oto zakres, skąd zawsze i wszędzie czerpano i czerpie się inwencje do maskarad.

Tak więc o tem, jakie przebranie jest modne, właściwie wcale mówić nie można. Są wprawdzie zawsze kostjumy częściej się powtarzające, ale oryginalność i pomysłowość ceni się w tym zakresie ogromnie. Wobec tej zupełnej dowolności wybór zależeć powinien tylko od tego, w czem ktoś najlepiej wygląda, najlepiej się potrafi ruszać i znaleźć. Nie trzeba tylko zapomnieć, że wdziać kostjum — to znaczy też grać odpowiednią rolę i że śmiesznieby wyglądało, gdyby się np. renesansowa dama zachowywała jak garsonka, albo gdyby Carmen była spokojna i cicha.

Za najelegantsze uchodzą kostjumy historyczne. Krynolinowa suknia z brokatu, obszyta koronką i girlandami kwiatów — wciąż jeszcze cieszy się popularnością. Nie jest to jednak przebranie łatwe, bo poruszać się w sukni, która sięga do ziemi, to dla dzisiejszych kobiet zadanie nielada. Prócz tego kostjum ten jest kosztowny, gdyż wymaga wykwintnego materjału.

Wytworny a mniej kłopotliwy jest kostjum, zwany La Merveilleuse, pochodzący z czasów dyrektorjatu, tem odpowiedniejszy, że nadaje się bardzo dla smukłych pań. Prócz znanej jego formy, istnieje jeszcze inna, mniej utarta, a więc na bal maskowy wdzięczniejsza. Jest to wąska, prosta suknia, zszyta tylko po lewej stronie, gdzie sięga aż do połowy uda. Tu szew kończy się, zazwyczaj piękną klamrą, a suknia łagodnym łukiem ciągnie się aż poniżej prawego kolana. Klin, który powstał między obu brzegami sukni, wypełniają koronki bielizny. Tył jest długi i ma olbrzymi tren, ukośno zakończony. Dekolt duży, suknia bowiem zaczyna się poniżej ramion i trzyma się na wąskich wstążeczkach. Urokiem tego stroju jest to, że jest dwukolorowy; mianowicie podszyty całkowicie jakimś stosownym drugim materjałem, który też obramowuje brzegi, a pod ramionami i zprzodu sukni wysuwa się tak głęboko, że tworzy rodzaj napierśnika. Szeroki pasek i budkowaty kapelusz, górą w kolorze spodu sukni, a podbity jej materjałem. Wąska kokardka ze spodniego materjału, uwiązana u przegubu lewej ręki, i laseczka — dopełniają stroju, który jest piękny i rzadki.

Dla pań, lubiących męskie przebranie — oczywiście dla młodych i smukłych — najstosowniejszy jest strój pielgrzyma lub kostjum z okresu romantyzmu.

Kostjum pątnika, bardzo ładny i korzystny, składa się z szerokiego bronzowego płaszcza z krótką peleryną i z kołnierzem, jak u habitu zakonnego. Zprzodu sięga do kolan, a zdłuża się zwolna ku tyłowi, tak że głęboki kontrafałd, umieszczony na plecach, spada aż do cholewy dość niskich butów. Szerokie białe obramowanie, białe manszety i czerwony pas, u którego wisi bronzowa manierka, bardzo rozweselają poważny mnisi płaszcz. Resztę stroju stanowią obcisłe spodnie z materjału płaszcza, czerwone buty i kapelusz, ubrany czerwonem i białem suknem, ewentualnie też i zamaszystem bronzowem piórem. Nieodzowny jest też kij pielgrzymi, w tym przypadku laska z miłą czerwoną kokardą.

Strój romantycznego kawalera, który ostatnio święcił triumfy na balu studenckim, składał się z sukiennych obcisłych spodni, sięgających niby kamasze aż po końce bucików i opatrzonych lampasem koloru surduta. Ten zaś aż do bioder obcisły i zapięty na haftki, od pasa począwszy jest otwarty i na biodrach bufiasty. Ozdobę jego stanowi biały żabot u kołnierza, duże mankiety u rękawów i kieszenie na biodrach. Prócz tego wąska taśma, którą w niedużych odstępach cały surdut jest wyszyty. Do tego nosi się rękawiczki koloru spodni o dużych sztylpach i aksamitny kapelusz, czółenkowatego fasonu. Młodzieńcowi tak ubranemu nikt się oprzeć nie potrafi. Zwłaszcza, jeśli nim jest młoda i piękna kobieta.

Prócz typowych kostjumów historycznych za eleganckie uchodzą też stroje, czerpane z portretów słynnych osobistości, znane z dziejów, lub literatury. Efektowniejsze znacznie od poszczególnych przebrań są całe grupy masek, które razem się na balu ukazują i razem się trzymają, np. paru pątników, jakaś historyczna para miłosna, kilka postaci z jakiegoś dzieła, powiedzmy: Zosia, Tadeusz i Telimena i t. d. Najszykowniejsze zaś maskowe bale wyznaczają temat, którego się mają trzymać wszyscy uczestnicy. Tak np. modne są obecnie w Paryżu bale kolonjalne, gdzie cała publiczność ubrana jest wyłącznie tylko w stroje, używane w danej kolonji. Swoją drogą, wobec tego że kolonje te mają dużo ludności murzyńskiej, której ubranie u siebie w kraju niebardzo odbiega od adamowych szat, sporo jest na tych balach ludzi wspaniale na czarno pomalowanych, ale prawie wcale nieubranych. Zaledwie parę bajecznie pstrych opasek przerywa imponującą czerń ciała.

Do przeszczepienia na nasz grunt ten rodzaj murzyńskich strojów nie nadaje się oczywiście. Tak więc stamtąd polecić można tylko stroje arabskie, a z nich najwdzięczniejszy może jest kostjum tragarza. Spodnie długie — aż po kostki — bufiaste, w jaskrawym, nasyconym kolorze. Kontrastowej barwy pończochy i inne znowuż w tonie pantofle. Paskowana koszula o szerokich, otwartych rękawach. Kamizelka jasna, trochę ciemniejsza w tonie chustka na szyi i takiż szeroki pas na biodrach. Do tego mycka w kolorze kamizelki, zakończona dużym płatem materjału w kolorze spodni, okręconym około czoła i zwisającym na kark.

Na „pory roku", na różne kwiaty, gazety, likiery i t. d. nie można dawać przepisów, bo tu wszystko zależy od osobistej pomysłowości, a możliwości jest nieskończona ilość. Co więc mi jeszcze uczynić wypada, to zapewnić, że powodzenie maski nietylko od kostjumu zależy, że więc nic nie szkodzi, jeśli kostjum z tego lub owego powodu jest mniej udany. Nie trzeba tracić humoru, a zabawa się uda. Tego z serca wszystkim maskom życzy MEWA

MODELE MÓD

TOALETY BALOWE

wykonane z materjałów wyrobu krajowego



701 702 703 704



701 Toaleta z crêpe satin w kolorze białym. Staniczek lekko zbluzowany, odcinana spódniczka jest rozszerzona nieznacznie ku dołowi i wykończona łagodnemi zębami. Szeroka falbana z koronki szaro-żółtej, naszyta nierównomiernie, zdłuża suknię wtyle. Pasek metal. w tonie koronki, z klamrą emaljowaną.

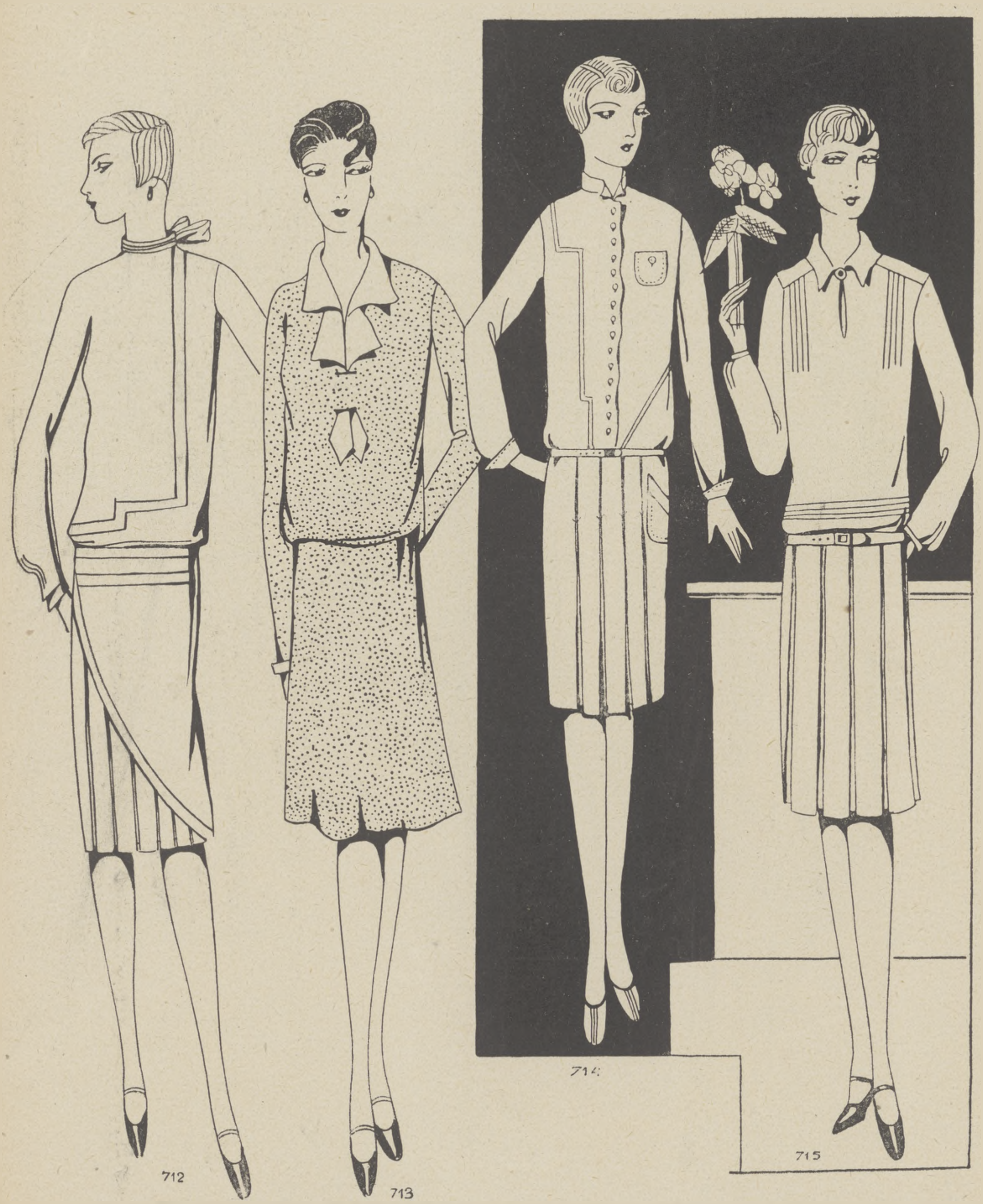
702 Toaleta z blado-różowej jedwabnej krepy w dowolnym gatunku, przybrana koronką w kolorze piaskowym.

703 Toaleta z czarnego aksamitu. Boczne fantazyjne części układane ze suto marszczonych falbanek z tafty. U wycięcia kokardka ze strassów.



704 Młodociana toaleta z bawełnianego tiulu, na spodzie z jedwabnej krepy chińskiej. Tiul zahaftowany w barwne grochy, ozdobiony w pasie i na spódniczce wąziutkiemi zakładeczkami, kończącemi się przy wstawionych dwóch godecikach. Chusteczka z tiulu gładkiego, oblamowana krepą chińską w tonie najciemniejszych grochów; związanie ztyłu, najmodniejsze obecnie.

Wszystkie 4 modele skomponowane są z myślą o przeróbce. Mod. 701 przez dodanie paska bluzuje suknię przedtem jednolitą, a przez naszycie koronki w podany tu sposób



przedłuża ją wtyle i zupełnie zmienia jej charakter. Mod. 702: przerobiony z wąskiej zeszłorocznej, z głębokiem wycięciem zprzodu, dziś już niemodnem. Wycięcie zmienia formę przez nałożenie plastronu koronkowego. Spódniczkę rozszerza i modernizuje w linji umiejętne rozmieszczenie koronki. Mod. 703: wąska suknia dostaje dwie boczne puszyste części, przez co nabiera cechy dzisiejszej. Mod. 704: zeszłoroczną suknię z jedwabnej krepy chińskiej, trochę podniszczoną, nakrywa się tiulem w całości. Tiul może służyć do różnych spodów.

705 Suknia z linon niebieskiego w odcieniu pastelowym, na spo-



dzie ze sztucznego jedwabiu **wyrobu krajowego.** Spódniczka zakończona plisą w tonie ciemniejszym; to samo pasek spięty motywem z kamyków kolorowych.

706 Biała suknia z jedwabiu „meteor" **wyrobu krajowego,** wyszyta misternie lekko opalizującemi perełkami.

707 Suknia z czerwonej tafty (odcień płomienia) **wyrobu krajo-**



wego. Staniczek zbluzowany, spódniczka naszyta skośno krajanemi falbankami. Na biodrze duża kokarda przytrzymana kwiatem z tafty.

708 Suknia z blado-cytrynowej żorżety **wyrobu krajowego.** Staniczek układany w plisy, wycięcie związane na obu ramionach kokardkami z woskowanej wstążki w kolorze sukni. Spódniczka dołem szersza, naszyta fantazyjnie falbankami, zakończonemi kokardą.

709 Strojna toaleta balowa ze srebrzysto-popielatej crêpe satin **wyrobu krajowego.** Stanik dyskretnie zbluzowany, wydłużony baskinką. Spódniczka, o nierównym obwodzie, rzuca głębo-

kie klosze. Szyję zakrywa krawacik z tego samego materjału. Płaszcz, krojem cape, z czarnego aksamitu, albo jakiegoś ciężkiego jedwabiu. Kołnierz futrzany.

710 Toaleta z czarnego lub fiołkowego aksamitu, skombinowana z gazą. Jedyną ozdobą skrzyżowany haft,



pasek i klamra z kryształków. Szal z czarnej koronki zakończony kutasami.

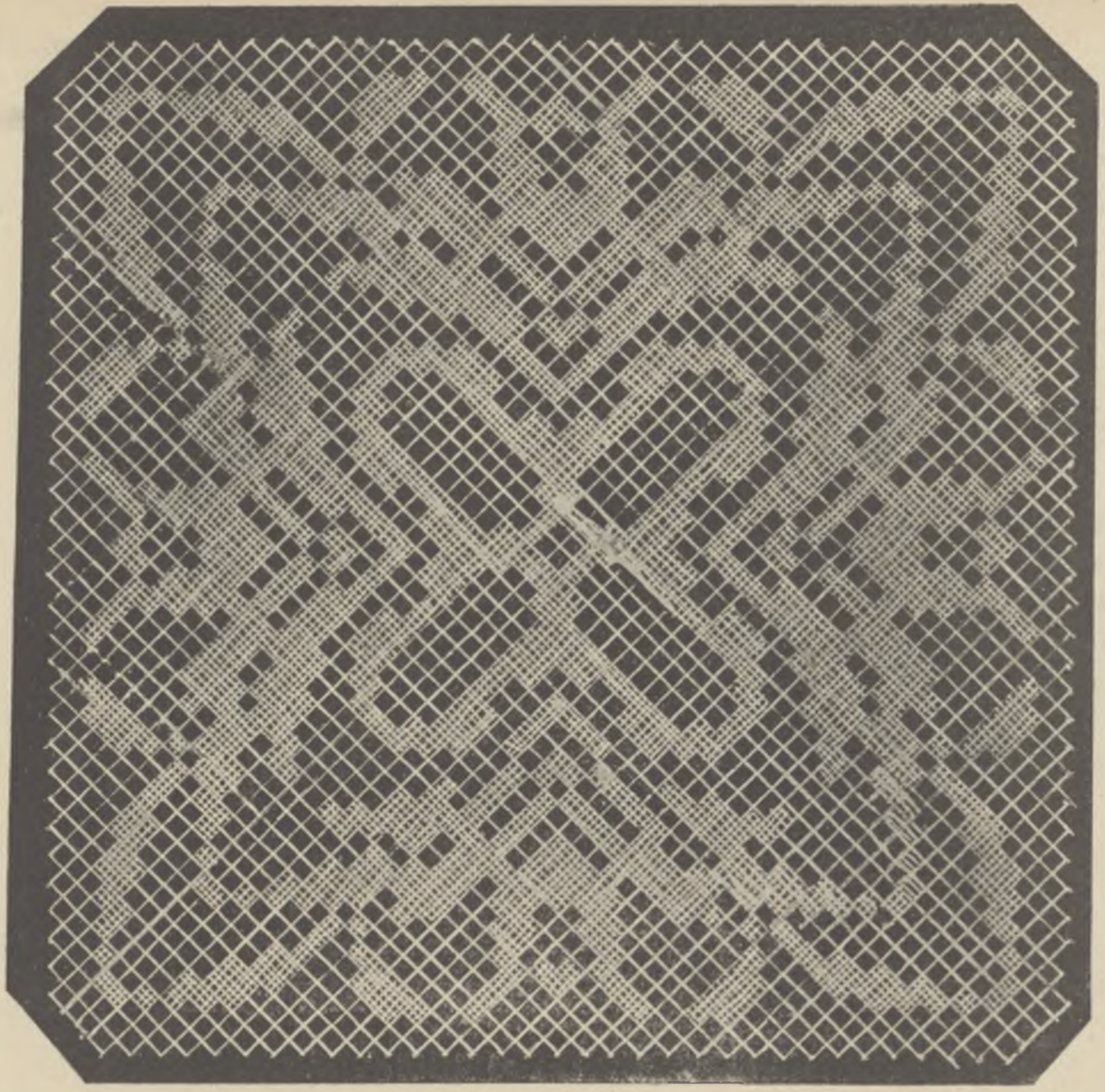
711 Toaleta z koronki w mysim kolorze na fiołkowym jedwabnym spodzie. Skrzyżowany pasek i kwiat z fiołkowego aksamitu.

712 Suknia z wełnianej piaskowej żorżety **wyrobu krajowego.** Stanik zbluzowany, spódniczka zprzodu w kontrafałdy, ztyłu gładka. Boczny fartuszeczek narzucony po wierzchu. Na staniku i fartuszeczku zakładeczki; kołnierzyk-listewka z materjału sukni, związany na kokardkę zboku.

713 Suknia z wełnianego woalu **wyrobu krajowego** w drobne bronzowe groszki na zielonem tle. Kołnierz z białej żorżety,
Ciąg dalszy opisu na str. 42.



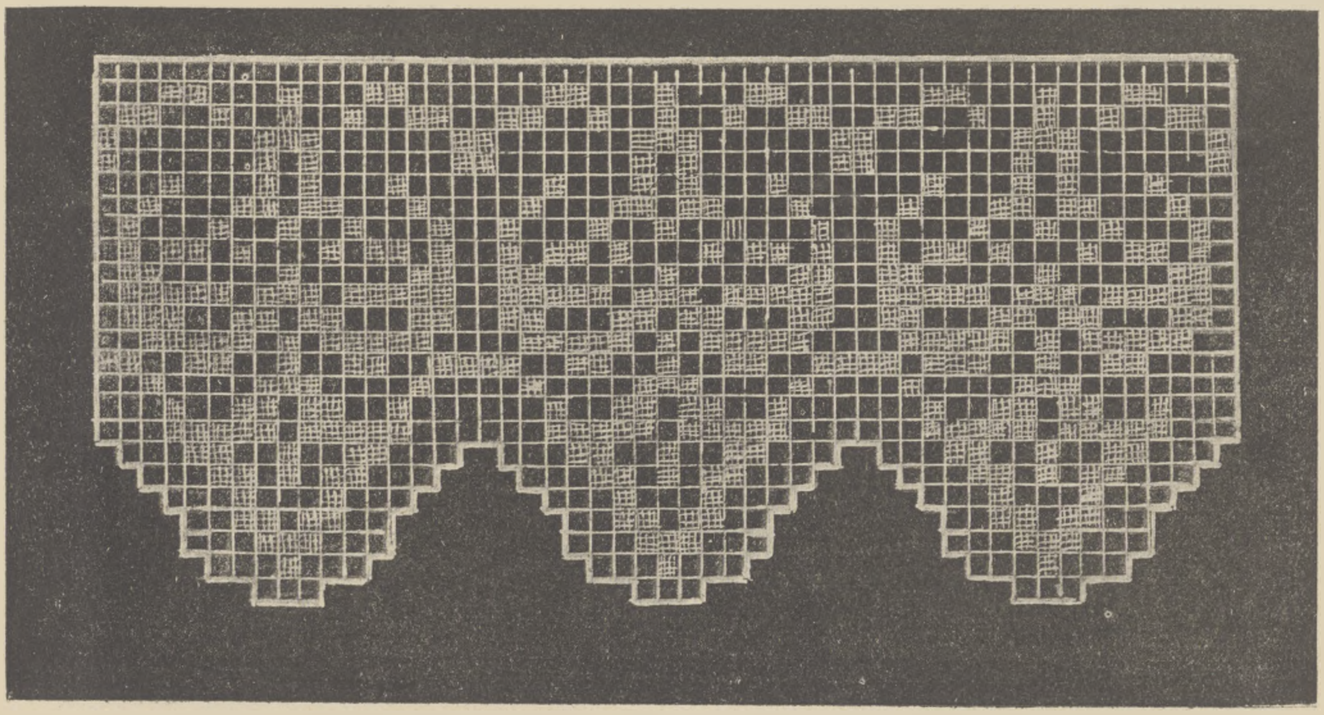
Dalszy ciąg opisu modeli na str. 42



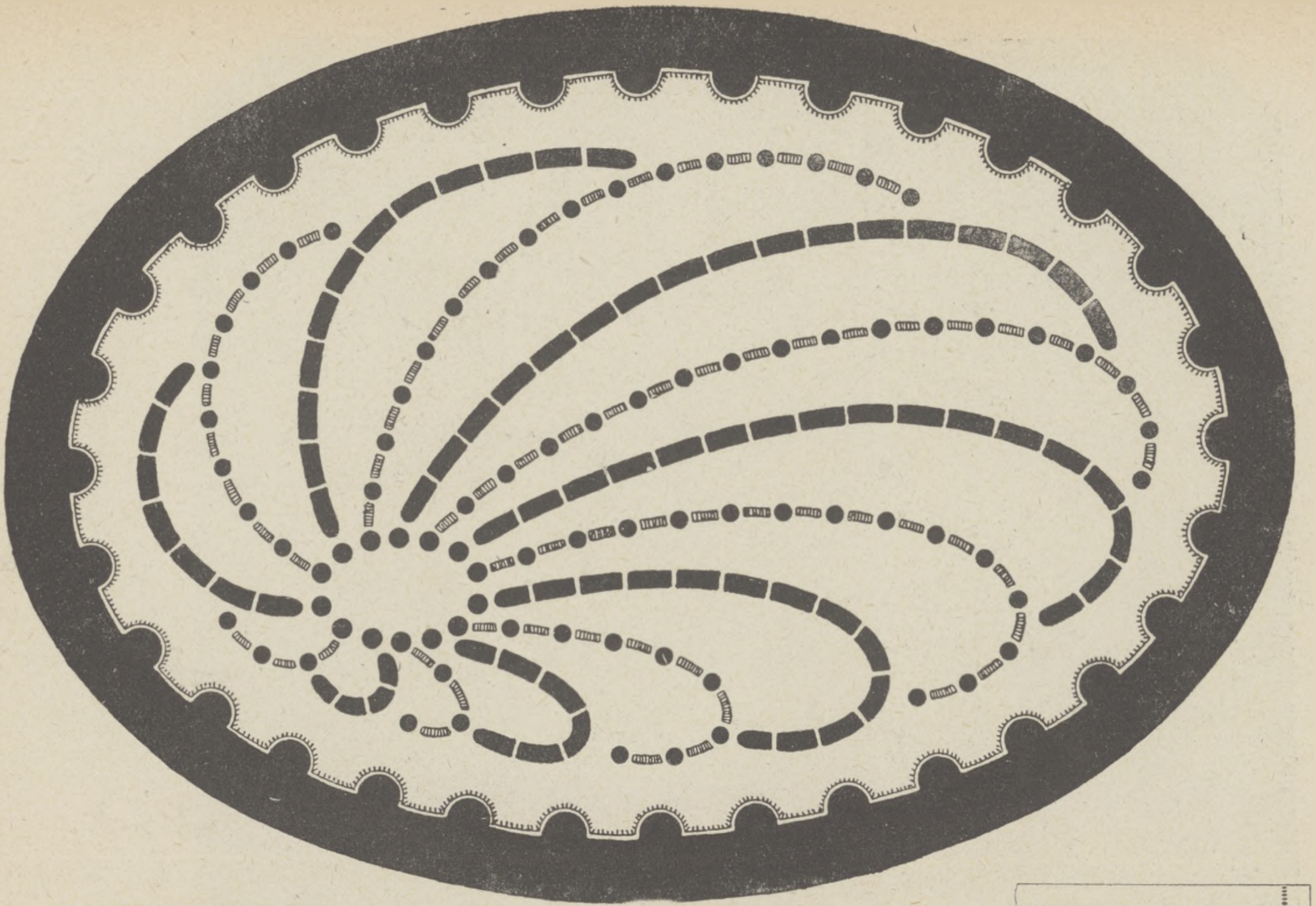
155 Serwetka filet wielkość 60x60 cm, wykonana ściegiem cerowanym. Skala 1 : 4.

156 Koronka wykonana w skali 1 : 2, do obszycia fartucha kołdry. Wykonana ściegiem przeplatanym.

Rys. 155



Rys. 156





Rys. 158

Rys. 157



Rys. 160



Rys. 159

Rys. 162

Rys. 161

OPIS MODELI MÓD

na str. 36, 37, 38, 39 i 40

(zob. str. 39) zakończony żabocikiem, który przechodzi przez zacięcia w staniczku.

714 Suknia z granatowej wełnianej krepy chińskiej **wyrobu krajowego.** Zbluzowany staniczek ozdobiony zakładeczkami i guziczkami; spódniczka ma z przodu głębokie kontrafałdy wstawiane. Kieszonki po jednej stronie, kołnierzyk męski.

715 Suknia ze stalowego rypsu **wyrobu krajowego.** Bluzka koszulkowa ozdobiona zakładeczkami. Spódniczka cała w kontrafałdy; pasek z czerwonej skóry.

716 Kostjum ze sukna beige, **wyrobu krajowego.** Spódniczka z fałdami wstawianemi zprzodu. Zakiet półdługi, przody głęboko zachodzące jeden na drugi, zapięte u góry na klapkę pod kołnierzem. Kołnierz stojący z futra fantazyjnego.

717 Kostjum z jasnej angielskiej wełny, zapięty wysoko; na szyi zwierzątko.

718 Kostjum z granatowej panamy. Zakiet pół-angielski, kieszonki zacinane. Spódniczka gładka ma zboku wstawione trzy fałdy. Na szyi lis. Kamasze — modne w tym sezonie — **wyrobu krajowego.**

719 Kostjum szwajcarski na narty. Bluza i spodnie krojem breeches z gabardyny **wyrobu krajowego;** wykończenie krawieckie. Kołnierz stojący, podwójny, zapięty na klapki.

720 Kostjum na ślizgawkę. Bluza z miękkiej wełny, w rosyjskim stylu; obszyta futrem, ściągnięta skórzanym paskiem. Spódniczka z angielskiej wełny w kratę.

721 Kostjum na ślizgawkę z orzechowego lodenu. Kieszenie naszywane, guziczki rogowe. Spódniczka ma głęboki fałd wstawiony zprzodu. Szal himalajowy.

722 Kostjum dziecięcy na ślizgawkę i czapeczka z białej himalaji.

723 „Mefisto". Kostjum dla nieskazitelnie zbudowanej pani. Trykot i czapka w czarnym kolorze — płaszcz, buty, rękawiczki i haft w pasie w płomiennym.

724 „Kostjum fantazyjny", doskonały do przeróbki z kilku starych balowych sukien, których już użyć nie można. Haft z włóczki i wstążek.

725 „Dama w czerni". Obcisły stanik z czarnego atłasu **wyrobu krajowego** wraz z krótkiemi spodenkami zapinany ztyłu, lub po bokach. Rękawiczki czarne, jedwabne albo antylopowe. Frendzle z czarnej lacety. Pończochy cieliste, pantofelki czarne atłasowe.

726 - 727 Suknie strojne z dowolnych materjałów dla dziewczynek na baliki.

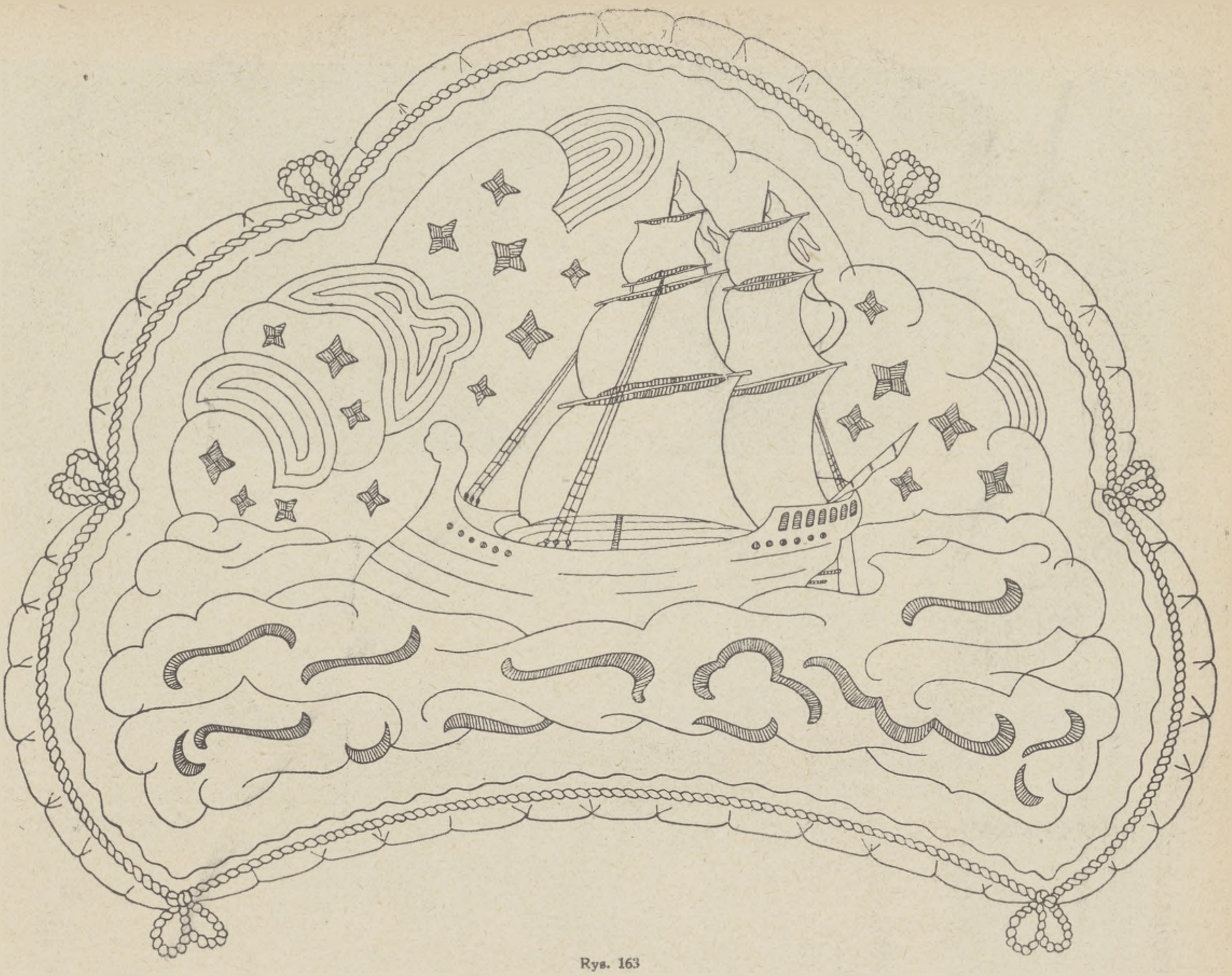
728 - 729 Ubranka na zabawy dziecięce dla chłopczyków. Materjały: kremowa wełna i czarny aksamit.

730 „Bukiet pierwiosnków", sukienka na balik kostjumowy. Suknia i rękawki z materjału zielonego, a kwiatki z żółtego jedwabiu.

731 „Chiński mandaryn", kostjum dla chłopca.

732 „Czarny kotek", kostjum dla dziewczynki z czarnego welwetu. Wnętrze uszek z różowego jedwabiu.

733 „Napoleon", fantazyjny kostjumik dla chłopca; wykonany z wełny w kolorze kamiennym. Wyłogi jedwabne.



Rys. 163

157 Milieu owalne o wymiarach 37 x 57 cm. Wykonane na opalu lub cienkiem płótnie lnianem haftem gipjurowym, płaskim i dziureczkowym. Brzeg wykończony dzierganemi ząbkami. Proj. Józef Babiak

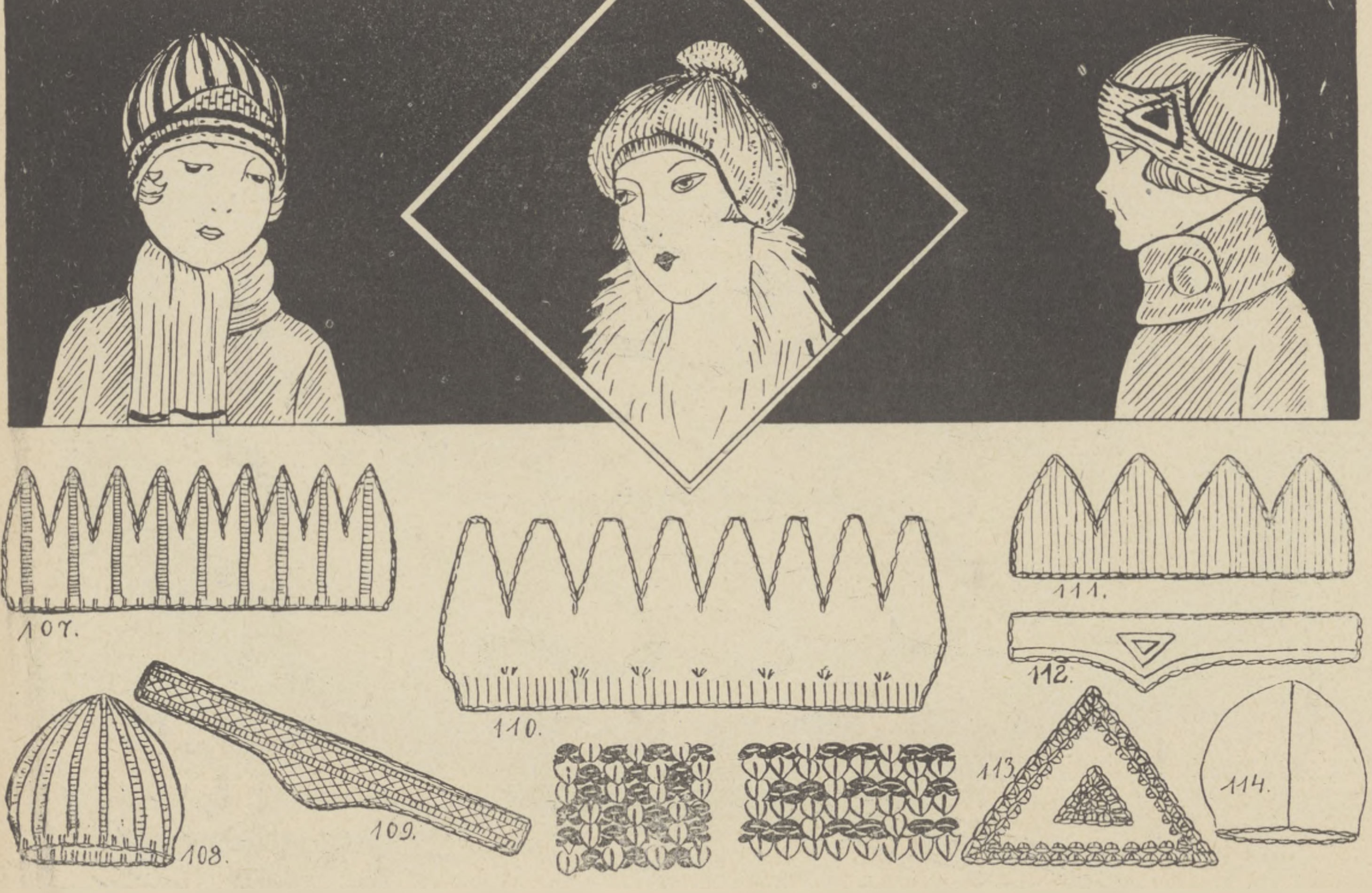
158, 159, 160, 161 i 162 znajdują się w naturalnej wielkości na „dodatku" wraz ze szczegółowemi opisami.

163 Poduszka z ciemno-granatowego sukna lub jedwabiu, wykonana haftem płaskim i wodnym ściegiem. Ryżka ciemnowiśniowa, sznur złoty lub pomarańczowy, chmurki jasnopopielate (srebrzyste), gwiazdki srebrne. Fale (wodny ścieg) niebieskawo-zielone; fale (haft płaski) jasno-seledynowe. Okręt, maszt i reje jasno-terrakotta, żagle kremowe, sznury i drabiny pomarańczowe, balustrada i okienka na okręcie jasno-żółte, chorągiewki czerwone. Wymiary: 53 x 35 cm. Proj. Józef Babiak



Rys. 164

164 Poduszka ściegiem Madeira. Tło czarne jedwabne, wierzch kremowy. Może być obszyta naokoło marszczoną falbaną w kolorze wierzchu. Proj. Jadwiga Skalecka



KURS TRYKOTARSTWA

Czapeczka dla dziewczynki w kolorowe podłużne paski może być zrobiona z części albo łącznie, jak wskazuje rys. 107. Jako podstawa miary służy objętość głowy i wysokość od brwi do karku podzielona przez dwa. Zaczyna się ściegiem 2 gł. i 2 nawywr., przyczem liczy się z tem, że trykot jest rozciągliwy. Z cienkiej włóczki robi się więcej części, jak np. 9 według rys. 107, a z grubszej włóczki mniej, np. 5. W równych odstępach wrabia się odpowiednią ilość kolorowych pasków. Mianowicie po odrobieniu brzeżka szer. 3 cm 2 gł. a 2 nawywr. rozpoczyna się właściwą czapkę ściegiem 1 gł. 1 nawywr., przyczem nieużytą kolorową nitkę przerabia się tylko razem z oczkiem nawywr., jak tego uczyliśmy przy wrabianiu wzorów. Gdy zrobi się w ten sposób mniej więcej połowę wysokości, zaczyna się odejmowanie w ten sposób, że kończy się kolejno każdą część osobno, podzieliwszy wszystkie oczka na równych 9 względnie 5 części. Odejmuje się zależnie od grubości włóczki i ilości oczek, w każdym drugim albo 5-tym rzędzie. Na końcu zostawia się po 2 oczka. Gdy wszystkie części skończone, zeszywa się je po lewej stronie, a pozostałe oczka (po 2 przy każdej części) nawleka na igłę i zaszywa na lewej stronie, rys. 108.

Wyłóg robi się oddzielnie według rys. 109, t. j. długość według objętości głowy, a wysokość około trzeciej części wysokości czapki. Na naszej czapeczce wyłóg jest ściegiem 1 gł. 1 nawywr. na wys. 2 cm, potem szlak kolorowy oczkami nawywr., następnie tło ściegiem kłosowym, t. j. 1 o. gł. i 1 nawywr., po 2 rzędach przestawić. Tło może być wykonane w jednym albo w dwu kolorach. Po drugim szlaczku zaokrąglone zakończenie ściegiem tła. Gotowy wyłóg zszywa się po lewej stronie i przyszywa nawywrót do czapeczki, którą można zakończyć kutasem, pomponem albo płaskim guzikiem, powleczonym trykotem.

Beret tak samo można robić z części, albo łącznie. Dla podlotka liczymy 54 — 56 cm objętości a 22 — 25 cm wysokości. Im więcej części, tem gładszy będzie beret. Zaczynamy brzegiem 2 oczka gł., 2 nawywr. Następnie dzielimy oczka na równe części — 6 — 8 — i na końcu i na początku każdego drutu robimy z jednego oczka dwa, t. zn. dodajemy, rys. 110. Z bardzo grubej włóczki dodajemy tylko na początku druta. Teraz robimy dalej gładkiemi oczkami aż do połowy wysokości licząc od końca szlaczku patentowego, potem zaczynamy odejmowanie. Na końcu każdego druta zostawiamy po 2 — 4 oczka. Gdy wszystkie części zakończone, zeszywamy je na lewej stronie, zeszywamy czapkę i przewlekamy pozostałe oczka. Szlaczek składamy wpół do środka i tam przyszywamy. Ostrą metalową szczoteczką wyczesujemy włóczkę tak, że staje się mszysta albo wołochata. Zakończamy ją pomponem.

Inny sposób robienia beretu polega na tem, że nie odejmuje się wcale, tylko robi równo wokoło, ale wtedy zaczyna się szlakiem 2 o. gł. 2 nawywr., następnie robi 5 razy po 1 gł. 1 nawywr., 1 gł. i 5 nawywr. i tak dalej wokoło. Ilość oczek musi więc być podzielna przez 16. Gdy czapka osiągnie odpowiednią długość, nawleka się wszystkie oczka i zaszywa z lewej strony. Gdy beret ma być dość obszerny, musi się również przy tym sposobie dodać po szlaczku patentowym około 16 oczek, zależnie od grubości włóczki.

Trzecia czapeczka zrobiona z 4 części, rys. 111. Można ją robić gładko, albo 1 o. gł. 1 nawywr. Na brzegu kilka rzędów 2 gł. 2 nawywr.

Wyłóg zakończony z boku w szpic, rys. 112, zaczyna się tak samo szlaczkiem patentowym. Następnie robi się 1 rząd po 2 o. nawywr. 1 gł., 2 rząd gładko, dalej 3 rząd jak pierwszy z przestawieniem i t. d., ob. rys. Gotowy wyłóg zeszywa się i obszydełkowuje niskiemi słupkami, odmienną włóczką. Trójkąt przytrzymujący wyłóg wykonywa się osobno w kolorze czapki i drugim odmiennym. Zaczyna się kółkiem z 9 niskiemi słupkami, w następnych rzędach robi się po 3 oczka na każdym rogu, rys. 113. Zeszytą czapkę bez wyłogu przedstawia rys. 114.

ZINA KULCZYCKA

KĄCIK PRAKTYCZNY

przypomina swoim Czytelniczkom o wyrobach krajowych



APLIKACJE Z AKSAMITU

Można niemi nietylko przybierać nowe suknie, ale także odświeżać i modernizować stare. Podajemy dwie suknie popołudniowe i dwie wieczorowe, które są w ten sposób przyozdobione. Pierwsza sukienka przybrana pałeczkami; kto woli grochy, może je zastosować w ten sposób, że u dołu da większe a ku górze stopniowo coraz mniejsze.

Suknia stylowa nadaje się doskonale do przerobienia z zeszłorocznej z dodaniem aksamitu. Zwykłą sukienkę koszulkową zmieni się niedopoznania zapomocą dużych płatków aksamitnych i godetów oraz riuszy z stosownego materjału.

Tak samo z koszulkowej powstała sukienka czwarta, która dostała tylko rodzaj nierównej tuniki i aplikacji z trójkątów.

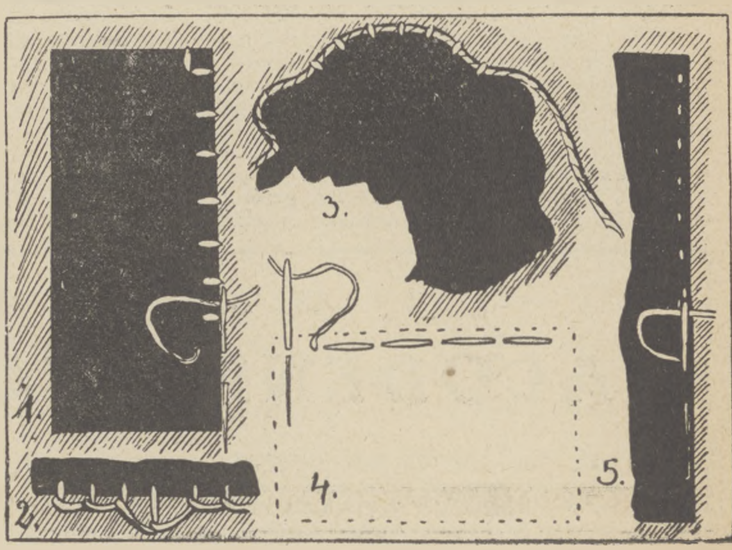
Na aplikacje używa się jedwabnego aksamitu zwykłego albo prasowanego. Drobne aplikacje można poprostu przyklejać, o ile nie zamierza się sukni już więcej przerabiać. Służy do tego celu klej roślinny, albo gutapercha, jakiej używa się do uszczelnienia okładów. Kładzie się odpowiedni płatek gutaperchy między materję a aplikację i przyprasowuje gorącem żelazkiem. Mniej trudne i ryzykowne jest przyszywanie różnemi sposobami.

Rys. 1 uwidocznia ścieg chwytający, który, drobno wykonany cienkim jedwabiem, może być niewidoczny na puszystym aksamicie. Nierówne dzierganie przedstawia rys. 2. Rys. 3 pokazuje, jak brzeg aplikacji wykonanej pierwszym sposobem można otoczyć sznureczkiem, albo kordonkiem przychwytanym cienkim jedwabiem.

Gęsty aksamit można przyszyć ściegiem przed igłą od lewej strony, rys. 4. Ścieg ten stara się chwytać jak najmniej materjału.

Drobniutki ścieg przed igłą, wykonany po prawej stronie, bardzo cienkim jedwabiem, także będzie niewidoczny.

Wreszcie każdy prawie ścieg ozdobny może znaleźć tu zastosowanie, ale im mniej będzie odbijał, tem lepiej, natomiast w zastosowaniu do dziecięcej garderoby można właśnie wywołać piękne efekty silnie odznaczającym się ściegiem. ZINA KULCZYCKA



COŚNIECOŚ DLA PANÓW

Dokończenie art. ze str. 31.

Pod adresem trykotaży nie zawadzi kilka uwag. Te, które widujemy za oknami wystaw sklepowych, są przeważnie za pstre i w kolorach zbyt krzykliwych. To też na terenach sportowych, na krajobrazie zimowym niemile rażą oczy i są wyeliminowane z garderoby szanujących się sportsmanów.

Ekscentryczne połączenia żywych, ostrych kolorów w trykotażach uchodzą w mieście na przeglądzie mody, na t rach w zamkniętych przestrzeniach. Są one na podobieństwo kostjumów kąpielowych, które nie służą do kąpieli, lecz do prezentowania ich przed lub po kąpieli na plaży, gdzie, jak wiadomo, bujnie kwitnie życie — towarzyskie. W olśniewającem oczy słońcu, na szarem tle piasku, żaden kolor nie wyda się krzyczący, żadne połączenie barw brutalne. Ale śnieżne przestrzenie inne mają wymogi.

Na zakończenie wspomnę o nowości w garderobie sportowej; jest nią: koszula Saint Moritz. Wykonana kr jem bluzkowym, nadaje się tak dobrze do kostjumów męskich, jak i damskich. Nosi się ją po wierzchu spodni; w pasie jest ściągnięta dwiema patkami, przez co lekko zbluzowana a tem samem nie krępująca i pozwalająca na najgwałtowniejsze ruchy bez przesunięcia paska choćby o centymetr. Rękawy nie mają mankiecików lub obszewek, lecz również jak w pasie tak i tu są przymarszczone w kostce i patką przytrzymane.

Koszula Saint Moritz zapięta jest na guziczki od spodu, w sposób niewidoczny. Krajana razem z kołnierzem, zaś zewnętrzne jego końce zaopatrzone są w srebrny pierścień, przez który przechodzi krawat, nie żenując w niczem szyi. GENTLEMAN

DOBRA GOSPODYNI

dba o dobrobyt Państwa i popiera wyroby krajowe

Każdego roku niezmiennie musimy podawać przepisy na potrawy stosowne do zimnego bufetu. Spodziewamy się jednak, że korzystają z nich także osoby nie urządzające zabaw, ani nie obowiązane do dostarczania „półmisków" do różnych bufetów. Zamiłowanie do różnorodnych sałat i do angielskiej zimnej kolacji wzrasta coraz bardziej, wszczególności w domach, gdzie niema stałej służby i przyrządzenie kolacji przy obiedzie bardzo jest pożądane. Sałatki zyskują na smaku przez kilkugodzinne stanie i ułatwiają zadanie gospodyni znacznie.



SKROMNA SAŁATKA. Ugotować 25 dkg żółtych albo białych buraków w wodzie ze solą. Pokrajać po ostudzeniu w drobne paski, dodać tak samo pokrajane resztki pieczeni, 1 śledzia albo kilka sardelek, 1 jabłko, 2—3 średniej wielkości ziemniaki, 1 obrany ogórek kiszony. Utrzeć 1 żółtko z 1 łyżką stopionego masła, wymieszać z solą, pieprzem, octem i dodać do powyższych składników, przybrać ozdobnie pokrajanemi płatkami ogórka i paskami śledzia albo sardelkami, oraz plasterkami cytryny.

TANIA SAŁATA Z RYBY. Pokrajać ugotowaną rybę w niezbyt drobne kawałki. Ugotować białą fasolkę i ziemniaki. Wszystkiego powinno być po równych częściach. Kartofle pokrajać w plasterki gdy ostygną i wymieszać z rybą i fasolką, pokrajaną cebulą, octem i solą. Przybrać plasterkami cytryny.

FAŁSZYWA RYBA. Ubić cielęcinę z łopatki na płasko, zwinąć i zawiązać. Zagotować wodę z jarzynką, korzeniami, solą i octem, włożyć mięso i gotować przez 1—1½ godziny. Po ostudzeniu pokrajać mięso w cienkie płatki i podać z sosem holenderskim. Rosół z cielęciny ubić na kraju blachy z 2-ma jajami i 2-ma przefasowanemi sardelkami.

MÓŻDŻEK ZAPIEKANY JAKO PRZYSTAWKA. Z móżdżku zdjąć błonkę, usmażyć na maśle z posiekaną cebulką i pieczarką z konserw albo ugotowanym suszonym grzybkiem, następnie przetrzeć przez sito. Stopić 4 dkg masła, utrzeć na pianę, dodać 4 dkg mąki i 1 l śmietany albo mleka, mieszać, aż masa odstanie od łyżki. Następnie dodać przetarty móżdżek, 2 żółtka, drobno posiekane kawałki ozoru, nakoniec pianę z 2 białek. Włożyć masę do formy albo do muszelek i wypiec w rurze. Przybrać kwadracikami ozora. Podać w formie albo w muszelkach.

BUDYŃ Z NIEPOKAŹNYCH KALAFJORÓW. Jeśli kalafjory utrzymały się dotąd w piwnicy, to nie nadają się zapewne już do podania w całości. Ugotować kalafjor w wodzie słabo posolonej i odcedzić. Rozgnieść widelcem i zmieszać z sosem z 1 łyżki masła, 1 łyżki mąki, 1 kwaterki mleka albo śmietany, 2 żółtkami, szczyptą pieprzu i 4 łyżkami tartego sera szwajcarskiego. Gdy masa za wolna, dodać 1—2 łyżki tartej bułki. Wymieszać z pianą z 2 białek i włożyć do formy wysmarowanej masłem i wysypanej tartym serem szwajcarskim. Na wierzch nasypać również warstwę sera i piec w rurze przez ½ godziny na złocisty kolor.

DLA MIŁOŚNIKÓW SUROWEJ DIETY. Kalarepki obrać, utrzeć, wymieszać ze śmietaną i solą. Smakuje wyśmienicie.

RYBA SZPIKOWANA. Morską rybę jak łosoś, dorsz albo kabeljan oczyścić, posolić i odstawić na godzinę. Następnie naszpikować, pokropić cytryną i piec w rurze, przyczem należy ją czesto podlewać. Sos zaprawić suto śmietaną. Podać z duszonemi ziemniakami.

POMADKI I CZEKOLADKI są obecnie bardzo drogie, a można je w domu znacznie tańszym kosztem sporządzić. Należy zaopatrzyć się w różne esencje, jakich używają cukiernicy, jak: migdałowa, cytrynowa, rumowa, pomarańczowa, ananasowa i inne.

Najłatwiej zrobić czekoladki zwane truflami. Utrzeć 15 dkg czekolady, dodać 5 dkg kakao, 15 dkg mączki cukrowej, odrobinę tłuczonej wanilji, łyżkę śmietanki i łyżkę rumu. Wymieszać masę, formować kulki, najlepiej łopatkami rowkowanemi jak do masła, tarzać w kakao albo w sieczce czekoladowej. Ułożyć w karbowane papierki, za kilka godzin stwardnieją.

Gdy doda się do powyższej masy zamiast rumu 1 łyżkę bardzo mocnej kawy, powstaną trufle z kawowym smakiem.

Czekoladki orzechowe również łatwo zrobić. Zemleć 15 dkg wyłuskanych orzechów, dodać 30 dkg mączki cukrowej i 1 łyżkę rumu albo wody z 3 kroplami esencji rumowej. Wyrobić masę łyżką, aż się przestanie kruszyć, w razie potrzeby dodać ostrożnie odrobinę wody. Formować kulki, maczać w czekoladzie płynnej, t. zw. „couverture", ułożyć na papierze pergaminowym, na każdą czekoladkę przylepić kawałeczek orzecha. Gdy wystygną, zdjąć z papieru i ułożyć w miseczkach papierowych.

PALUSZKI ORZECHOWE. Utrzeć 12 dkg masła z 12 dkg cukru, dodać 3 żółtka, skórki cytrynowej, 25 dkg tartych orzechów laskowych, 75 dkg mąki, pianę z białek, pół kwaterki wody i jedną paczkę proszku drożdżowego. Zamiesić ciasto, wytaczać na grubość palca, pokrajać w paluszki i upiec na maśle kokosowem.

OSTATNIA NOWOŚĆ. Firma: Władysław Weber, Lwów, Batorego 2, przyjmuje pierze do czyszczenia i oddaje całkiem czyste, a koszt jest minimalny.

TOWAROZNAWSTWO

Z Australji i Ameryki pochodzą skórki różnych zwierząt, które dostarczają nam trwałych i niezbyt drogich futer; obejmuje się je wspólnem mianem „wallaby", ale rozróżniamy różne gatunki:

K a n g u r y szare są dość tanie i służą jako podszycia, rzadziej jako przybranie. Droższe gatunki szaro-bronzowe i czarnawe są piękniejsze i niemi przybiera się płaszcze itp. Tu należą także o p o s y, t. j. skórki dydelfa naturalne, o barwie żółtawo-białawej, i farbowane jak skunksy. W handlu istnieją różne odmiany o rozmaitych nazwach, np. tasmańskie, amerykańskie i t. p.

Amerykańskie s k u n k s y, po polsku śmierdziele, są bronzowe i czarne, mają sztywny lśniący włos, tu i ówdzie biały na końcach, oraz wąskie białe paski u spodu, zwane widłami skunksowemi. Temi paskami często zdobi się kołnierze i zarękawki sporządzone ze skunksów. Skunksy przerabia się w naturalnem zabarwieniu albo farbowane. Imituje się je oposami i chińskiemi kozami.

P o p i e l i c e — to wiewiórki syberyjskie albo amerykańskie. Są barwy jasno-popielatej, białej albo bronzowo-szarej; te ostatnie cenniejsze. Dawniej używano ich jedynie na podszycie, dziś należą do droższych futer, z których szyje się płaszcze, peleryny i kurtki, oraz szale; służą również jako przybranie. Płowieją łatwo w silnem świetle słonecznem. Naśladuje się je królikami i koźlętami.

Jeszcze mniejsze od popielic są futerka k r e t ó w. Choć krety u nas bardzo pospolite, futerka te należą do droższych, gdyż zdobycie ich nie jest tak łatwe ze względu na to, że skórki musi się ściągać, póki zwierzątko jeszcze ciepłe. Prócz tego przerabianie wypada drogo z powodu małych rozmiarów skórek.

Istnieją odmiany ciemne i trochę jaśniejsze, a nawet bronzowawe. Futerka niezbyt trwałe ale bardzo szykowne i pozwalają na najrozmaitsze kombinacje. Naśladuje się je królikami.

Dawniej służyły futra k o t ó w do naśladowania szlachetnych futer. Dziś używa się ich nadal na ten cel, ale prócz tego nosi się je w naturalnym stanie i pod szumnemi nazwami, ukrywającemi ich pochodzenie. Nasze pospolite koty domowe hoduje się w niektórych okolicach umyślnie dla futra, przyczem wybiera się oczywiście szczególne odmiany o pięknem zabarwieniu, np. czarnem, popielatem, białem i bronzowem, i o puszystej sierści.

Koty z innych krajów, jak Junaty, Civetcatsy, oraz inne są bardziej puszyste i mają charakterystyczny rysunek.

Futra l a m p a r t ó w i p a n t e r, dawniej używane jedynie do dekoracji, służą jako płaszcze i kurtki, a ponieważ są drogie, naśladuje się je pospolitemi kotami i innemi futrami.

Nawet m a ł p y dostarczają nam futer do przybrania okresowo bardzo modnego. Niegdyś noszono z nich kołnierze, zarękawki i — czapki.

Nie wiemy, jakie niespodzianki przyniesie nam moda w najbliższej przyszłości, choć trudno sobie wyobrazić, żeby można jeszcze coś nowego wymyśleć. Któż byłby dawniej nosił kurtki z g a z e l i, dziś tak modnej?

A futerko k o ź l ą t, bronzowe czy popielate, oczywiście farbowane, naśladuje dziś z powodzeniem popielice lub murmle

a nawet nurki, tak w zabarwieniu' jak i uszyciu. Różne gatunki kóz służą jako kołnierze, np. muflony, angory, slates i t. p.
Futra źrebiąt, niegdyś służące jedynie jako kurtki myśliwskie, zdobią dziś modne elegantki, noszące je bądź jako strojne futra w połączeniu z innemi cennemi skórkami, bądź jako sportowe kurtki. Moda faworyzuje je do tego stopnia, że trudno je dostać i cena ich idzie coraz bardziej wgórę. Oczywiście, rozróżnia się liczne gatunki; cenniejsze przypominają połyskiem i rysunkiem Breitschwanzy, lichsze mają twardą skórę i włos dłuższy i matowy. Podobnie jak u baranków, wiek zwierząt stanowi o piękności skórek.

Do nowszych wynalazków mody należą jagnięta Breitschwanz, a więc poronione. Odznaczają się pięknym wzorem, nawzór mory. Farbuje się je na kolory beige, orzechowy, popielaty, „platynowy". Zależnie od gatunków jagniąt istnieją odmiany mniej lub więcej lśniące. Pewien rodzaj zwie się „slinks", t. j. poronione zwierzę. Prawdziwy Breitschwanz pochodzi, jak wspominaliśmy poprzednio, z baranków perskich i astrachańskich.

Z łapek baranków perskich lśniących szyje się płaszcze i kurtki nietylko — jak dotąd — czarne, ale również beige, orzechowe i popielate.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W dobrze zrozumianym własnym i kraju interesie należy popierać wyroby krajowe

INKA W. — 1. Kolor beige jest nadal modny, ale wybitne firmy krawieckie uważają, że aksamit i jedwabie nie wypadają dosyć szykownie w tym kolorze; radzą też zastąpić go odcieniem jaśniejszym, t. j. piaskowym. — 2. Obficie ondulowane fryzury i ozdobne grzebyki cieszą się w tym sezonie dużem powodzeniem.

N. N. — Nadesłane pytania nie nadają się do odpowiedzi w druku; po otrzymaniu adresu odpowiemy listownie. — W sporach familijnych nie zabieramy głosu.

P. ALEKSANDER B. — Żądanych adresów udzieli Panu Izba Handlowo - Przemysłowa.

TRÓJKA. — Pierwszej z Pań radzimy toaletę z tiulu, na spodzie z zeszłorocznej białej wąskiej sukni. Można dać trzy marszczone falbany o nierównych szerokościach. Na staniku aplikacja z czarnego aksamitu; może być kwiat lub smukły deseń geometryczny, w okolicy ramienia od przodu na plecy zachodzący. Z jednej strony. — Drugiej: Kwestję fryzury można ominąć; obecnie modne są do wieczorowych sukien malutkie obcisłe turbany, toczki, kaski. Robi się je z materjałów efektownych, z lam, koronek złotych lub srebrnych, z lamy w połączeniu z filcem, z aksamitem, zdobi się je haftami z pereł, korali, kamieni, czasem fantazją z piór opadających na twarz i szyję. W miejscowościach, w których trudno o fryzjera, okazuje się ten pomysł mody bardzo praktyczny. — Trzeciej: pisaliśmy już niejednokrotnie o barwieniu brwi i rzęs na trwałe; widocznie nie czytuje Pani pisma uważnie. Płyn japoński barwi na przeciąg 6 tygodni; zastępstwo ma firma A. Prevendar, Lwów, pl. Bernardyński. Tenże salon fryzjerski przygotował na sezon karnawałowy różne nowości w zakresie fryzur i peruczek dobieranych

Nawet poczciwe cielęta, które dotąd zaopatrywały nas jedynie w skórę na obuwie, dostarczają nam dziś futer. Futra normalnie urodzonych cieląt mają dość długą sierść, dlatego używa się ich jedynie na futra sportowe. Do przybrania i na elegantsze płaszcze i kurtki używa się futer poronionych cieląt, t. zw. veau mort. Farbuje się je na różne kolory — czarny, beige i inne odcienie bronzowe — a maluje w centki i łatki. Niektóre odmiany naśladują z powodzeniem źrebięta.

Kozy służą nietylko do imitowania lisów, ale także na kołnierze i przybrania, oczywiście szlachetniejsze odmiany, jak angorskie, muflony i inne.

Wkońcu wspomnimy jeszcze o królikach i zającach. Te ostatnie dostarczają kołnierzy do sportowych okryć, podbić pod płaszcze, oraz skór do różnych imitacyj. Sierść służy do wyrobu pilśni. Biały zając naśladuje białe lisy. Obecnie używa się nawet brzuszków.

Króliki — śmiało rzec można — królują na rynku kuśnierskim. Prawie wszystkie futra można niemi naśladować, a w naturalnem zabarwieniu służą na futerka dla dzieci. Niektóre popielate odmiany imitują popielice, a białe zastępują gronostaje jako „herminetty."

Hoduje się je najwięcej we Francji, Belgji, Niemczech, a dzikich dostarcza przeważnie Australja i Zelandja. Nie wystarcza już farbowanie na różne kolory, obecnie wyjaśnia i utlenia się je nawet, oraz strzyże we wzory.

Przy tak szerokiem zastosowaniu wszystkich niemal futer na wierzch, wyłania się pytanie, co też daje się pod spód jako podbicie. Oczywiście wobec wygórowanych cen coraz rzadziej używa się do tego celu szlachetnych futer i zresztą mało kto mógłby sobie pozwolić na taki wydatek. Natomiast z odpadków, jak np. głów, boków i łapek, o ile nie nadają się na wierzchy, zestawia się podbicia, a zatem z odpadków z popielic, piżmowców, baranków i innych. *(C. d. n.)*

do toalet, jak np. srebrzyste, złotawe i t. p. Bronzuje również włosy na złoto na jeden wieczór.

SŁUCHACZ POLITECHNIKI. — Zechce Pan zwrócić się do Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, Lwów, Akademicka 2, albo Warszawa, Wilcza 3, i zażądać katalogów wydawnictw fachowych. Wymienione przez Pana podręczniki są na składzie; może je Pan otrzymać na spłaty.

WĄTŁA. — Nie dziwimy się; wątłość jest dziś niemodna i już dawno przestała być bronią kobiecą. Dlatego porażka. Smukłość nie ma nic wspólnego z wątłością i niedołęstwem. Dzisiejsze kobiety odżywiają się rozsądnie, dbają o higjenę, są czynne, energiczne, śmiałe, wiedzą czego chcą — i przez myśl im nie

przejdzie kokietowanie powojowatem usposobieniem. Należy ono do gratów w lamusie. Trzeba pokochać pracę, wyszukać sobie zajęcie, polegać na sobie samej, nie nudzić drugich swojemi sprawami, a dużo w stosunkach Pani zmieni się na lepsze.

PODRÓŻUJĄCA. — Owszem, istnieje coś takiego, a nawet — jest modne. Jest to składany t. zw. „kieszonkowy parasol". Wygląda jak cacko w pięknym futeraliku.

NARZECZONA. — Nie możemy zająć się zebraniem cen podanych materjałów, ani też ich wyborem i kupnem. Tego rodzaju rzeczy nie wchodzą w zakres prac redakcyjnych. Radzimy zapytać osobiście, albo też zatelefonować do firmy Bogusława Hersego przy ul. Marszałkowskiej. Otrzyma Pani najlepsze informacje.

Dodatek do »Świata Kobiecego«

Nr. 2. Rok 1929



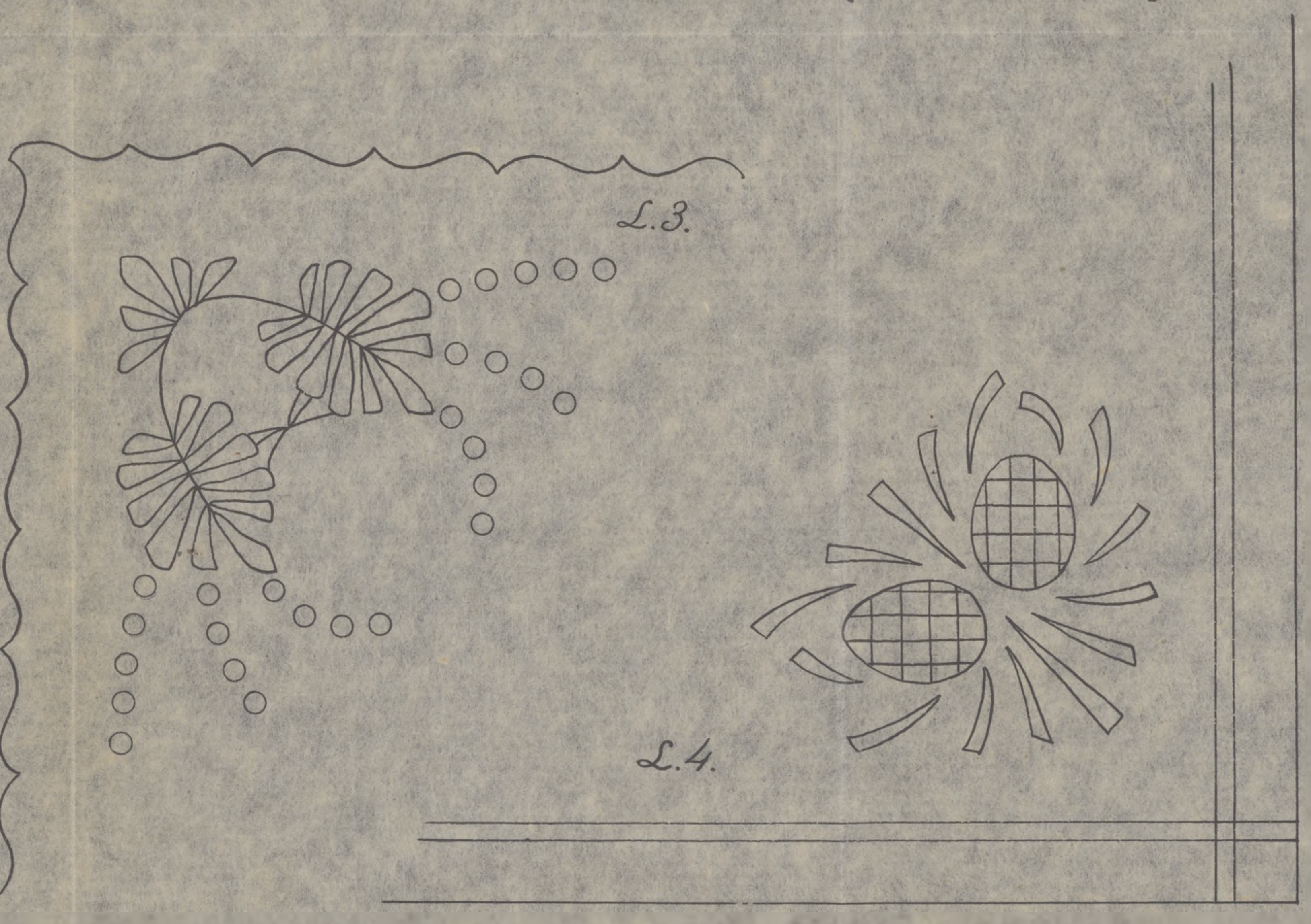
Rogi do chusteczek

Przód do koszul dziennych; aplikacja, haft płaski i gałązkowy.

Rys. 1. Haft Richelieu, brzegi dziergane.
" 2. Haft płaski i gałązkowy, brzegi dziergane.
" 3. Haft angielski; brzegi dziergane.
" 4. Haft płaski i Toledo, brzeg wykończony mereżką.

Proj. Józef Babiak





Dodatek do »Świata Kobiecego«

Rok 1929

Nr 2.

Przód do koszul dziennych; aplikacja, haft płaski i ażurkowy.



Róg do chusteczek

Rys. 1. Haft Richelieu, brzegi dziergane.
2. Haft płaski i gobelinowy, brzegi dziergane.
3. Haft angielski, brzegi dziergane.
4. Haft płaski i Toledo, brzeg wykończony mereżką.

Rys. Józef Gubiak

